Nr. 262. Lwów — Piątek dnia 16 Listopada. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . 5 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h. Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy osób i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Sokolowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Otmara Op. Akepsyny M. | Jutro: św. Salomei P. Joannyka Pr.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 7 m. 16 | Zachód „ „ 4 m. 14

Długość dnia godzin 8 minut 59 | Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Drożyzna węgla

i projekt oclenia wywozu drzewa.

W państwach ościennych Rosyi i Prusiech energicznym zarządzeniom władzy i zapobiegliwości samego społeczeństwa udało się już do pewnego stopnia ukrócić samowolę lichwiarzy węglowych i sprowadzić znaczne obniżenie cen węgla. W Warszawie np. spadła ostatniemi czasy cena węgla o 15 rubli na wagonie, w Niemczech zaś, gdzie jeszcze z końcem października płacono 75 do 80 feników za centnar, sami właściciele kopalń obniżyli obecnie cenę węgla na 58 do 60 feników za centnar. Do tego ustępstwa zmusili producentów węgla przemysłowcy niemieccy, którzy już to ograniczyli ruch w fabrykach, a temsamem zmniejszyli zapotrzebowanie opału, już to rozejrzeli się za materyałem opałowym za granicą i pozawierali kontrakty o dostawę węgla amerykańskiego; najskuteczniejszym zaś środkiem zapobiegawczym przeciw dalszemu podnoszeniu cen węgla okazały się zarządzenia taryfowe rządu, który celem ułatwienia dowozu węgla zagranicznego do Niemiec, przyznał wszystkim transportom węgla zagranicznego ogromne zniżki taryfowe, stosowane dotychczas tylko do eksportu niemieckich płodów surowych za granice państwa. Dzięki tym zarządzeniom, krajowi producenci i handlarze węgla w Niemczech zaczęli tracić coraz więcej odbiorców i musieli ceny obniżyć, na razie jak widzimy mniej więcej o 20%, powszechnie jednak spodziewają się niebawem jeszcze dalszego zniżania cen. Tylko u nas, w Austryi, spekulanci węglowi są jeszcze panami sytuacyi i nie tylko nie obniżają cen węgla, lecz przeciwnie, ostatniemi czasy znów je podnieśli o kilka centów na centnarze. Dotychczasowe bowiem zarządzenia rządu wydane z powodu drożyzny węgla są niestety tego rodzaju, że nietylko nie uniemożliwiają spekulantom dalszego wyzysku konsumentów, lecz raczej go ułatwiają, a dla ludności są wielce uciążliwe. Jednem z takich uciążliwych zarządzeń jest zakaz sprzedawania drzewa z lasów rządowych w okręgu stanisławowskim. Powodem wydania tego zakazu była obawa, że niebawem może wybuchnąć znów strejk robotników w kopalniach węgla, aby zatem nagromadzić jak największe zapasy drzewa opałowego, by w razie ostateczności drzewem palić w lokomotywach na kolejach państwowych, wydano wspomniany zakaz. Tymczasem następstwem jego jest to, że dziś ludność w okręgu stanisławowskim, która niemal wyłącznie zaopatrywała się w opał z lasów rządowych, przepłacać musi drzewo i węgiel u prywatnych handlarzy. I tak wogóle wszystko, co dotychczas zrobiono w Austryi z powodu drożyzny węgla, jest dla ludności nową uciążliwością.

Ostatnimi zaś czasy wyłonił się w zachodnich prowincyach monarchii nowy projekt wrzekomego przeciwdziałania drożyźnie węgla, projekt, który gdyby został urzeczywistniony, byłby wielką klęską dla naszego kraju, a zwłaszcza dla naszego gospodarstwa leśnego. Oto w łonie przedstawicieli zachodnio-austryackich izb handlowych, powstała myśl domagania się od rządu, ażeby nałożono cło wywozowe na drzewo, wywożone z Austryi. Myśl tę roztrząsano już na ankietach, urządzanych wspólnie przez wszystkie izby handlowe w Austryi nad projektem nowej, autonomicznej taryfy celnej i jak to łatwo pojąć, znalazła ona wśród przemysłowców z zachodnich prowincyi gorących zwolenników. Już nawet wyrachowali oni, jak wysokie ma być to projektowane cło i proponują je na 25 centów od 100 kilogramów drzewa celulozowego, przydatnego do fabryki papieru, a na 15 centów od 100 kilogr. drzewa krągłego. Łatwo przemysłowcom z zachodnich prowincyi stawiać takie żądanie, oni bowiem w razie obłożenia drzewa cłem wywozowem, nic stracić nie mogą, tylko zyskać, gdyż prowincye zachodnie nie mają drzewa na export. Dla Galicyi jednak, jak rzekliśmy, byłoby zaprowadzenie tego cła wielką klęską, gdyż następstwem jego byłoby obniżenie cen drzewa galicyjskiego, potanienie lasów i upadek naszego gospodarstwa leśnego. Interesa zrobiliby tylko wielcy handlarze, gdyż właściciele lasów w Galicyi musieliby sprzedawać im drzewo po takiej cenie, jaką oni podyktują. Sfery interesowane w kraju zwróciły już uwagę na tę sprawę i przed kilku dniami odbyło się w Towarzystwie gospodarskiem we Lwowie zebranie delegatów obu krajowych Towarzystw rolniczych, delegatów izb handlowych: krakowskiej i lwowskiej, naczelników Dyrekcyi domen i lasów i kilku gospodarzy leśnych. Uchwalono na tem zebraniu użyć wszystkich środków dla udaremnienia tego dla Galicyi tak szkodliwego projektu i porozumiano się co do dalszej akcyi, jaką w tej sprawie ma wdrożyć Towarzystwo gospodarskie wspólnie z innemi korporacyami.

Dobrze się stało, że zawczasu zabrano się do tej sprawy i nie wątpimy, że akcya rozpoczęta przez Towarzystwo gospodarskie uwieńczona zostanie pomyślnym skutkiem i że przyszłe Koło polskie, minister dla Galicyi i wszystkie poważne czynniki użyją całego swego wpływu, aby odwrócić od Galicyi tę nową klęskę.

Przepowiednie i oszczerstwa.

Piszą nam z Wiednia, 14 listopada:

Ruch wyborczy w Galicyi wywołał nagle liczne echa w prasie niemieckiej, która dotąd poprzestawała na suchych depeszach telegraficznych. I tak dziś długą korespondencyę lwowską pod napisem: „Es bleibt alles beim Alten“ ogłasza *Neues Wiener Tagblatt*. Opowiedziawszy dzieje teraźniejszego ruchu wyborczego w Galicyi, korespondent wymienionego dziennika dochodzi do wniosku, że dotychczasowa lewica Koła polskiego powróci moralnie osłabiona i podda się pod „jarzmo“ solidarności klubowej. Co do projektów, aby mniejszości w Kole zabezpieczono swobodę akcyi, korespondent słusznie zauważa: „Klub, w którym każdy robi, co mu się podoba, nie jest klubem, a w każdym razie byłby czemś zupełnie odmiennem od tego, co dotychczas znaliśmy w Austryi pod nazwą Koła polskiego“.

Tę samą kwestyę na podstawie informacyi ze Lwowa i Krakowa rozstrząsa korespondent *Lloydu* peszteńskiego. Czy czytelnicy węgierscy zdołają sobie wyrobić z tego opisu dokładne wyobrażenie o szyku bojowym stronnictw naszych — wątpimy. Jeżeli jednak w końcu wymieniony korespondent zapewnia, że przyszłe Koło polskie będzie się składało, tak samo, jak niemiecka lewica, z różnych odrębnych grup, to trzeba się przeciwko takiej ewentualności stanowczo zastrzedz. Nie byłaby to dawna solidarność Koła, lecz całkiem niedostateczny jej surrogat.

Si duo faciunt idem, non est idem! (Chociaż dwaj czynią to samo, to przecież to nie jest to samo). Dla Niemców na razie, t. j. dopóki chodzi o negacyę, nie zaś o pozytywną pracę parlamentarną, taka luźna organizacya wystarcza. W nawiasie, zastrzegamy się w imię estetyki przeciwko powtarzaniu wyrazu „Gemeinbürgschaft“. Ni stąd, ni zowąd powstają i rozpowszechniają się nowe wyrazy dziwaczne i trywialne, czasem potworne. Tak w r. 1872 pojawił się wyraz „Chabrus“ i przez kilkanaście lat wałęsał się po dziennikach, chociaż nie miał sensu. Od r. 1873 grasował wyraz „Krach“, powtarzany nawet w dziennikach francuskich, a nawet w uczonych dziełach ekonomicznych, jak gdyby od wieków nie były się wydarzały bankructwa i katastrofy giełdowe! Takim wyrazem jest używane od niedawna „Khaki“, jako przezwisko wojska i patryotycznego stronnictwa w Anglii. Do rzędu takich nowych, a trywialnych wyrażeń należy także „Gemeinbürgschaft“, używane na określenie federacyi Niemców.

Wracając do rzeczy, taka solidarność, jak ta, która istnieje pomiędzy 5 niemieckiemi frakcyami lewicy, nie może żadną miarą być wzorem dla nas. Dla Niemców rozdrobnienie na tyle stronnictw jest nieszczęściem. Jeżeli mamy uczyć się od Niemców, to uczmy się ich zalet, ale nie najoczywistszych wad, pomiędzy któremi wygórowany indywidualizm jest najzgubniejszą. Ostatecznie brak prawdziwej solidarności po stronie Niemców tłómaczy się różnymi względami, a mianowicie okolicznością, że ci posłowie niemieccy pochodzą z różnych prowincyj, w których na podstawie odmiennych stosunków, górują też rozmaite prądy. Polityczne interesa np. Niemców dolnorakuskich a Niemców z Czech itd. są odmienne, często wręcz sprzeczne. To tłómaczy, dlaczego stronnictwa niemieckie tworzą się na różnej podstawie i dlaczego trzeba poprzestać na luźnym związku tych stronnictw, jaki wyobraża teraźniejsza niemiecka lewica.

Natomiast posłowie polscy reprezentują tylko jedną prowincyę (ewentualne wstąpienie posła ze Szląska albo z Bukowiny do Koła polskiego jako wyjątek zatwierdza regułę), łączą ich lub powinny łączyć, obok wspólnej narodowości, najważniejsze interesa krajowe, historyczne, ekonomiczne itd. Przedłużać walkę o mandaty w Wiedniu, przerzucać się z kraju do Rady państwa i rozbijać tutaj solidarne Koło polskie na szereg luźnie tylko skonfederowanych kółek, pozbawiałoby przyszłą delegacyę naszą wszelkiej możliwości wywierania w parlamencie tego wpływu, który jest dla nas niezbędny. Ufajmy więc, że przepowiednie korespondenta *Lloyda*, choć oparte nibyto na informacyach ze Lwowa i Krakowa, nie ziszczą się.

Także znany tutejszy korespondent *(F.)* monachijskiej (a niegdyś augsburgskiej) *Allg. Zeitung* rozwodzi się o wyborach galicyjskich. Z początku ci panowie zapowiadali, że Koło polskie będzie zdziesiątkowane. Teraz pan F. przewiduje wprawdzie, że powróci do Izby silne Koło polskie, zaznacza łaskawie, że ze strony władz krajowych nie bywają „teraz“ popełniane żadne „gwałty“, jak gdyby w roku 1897 gwałty popełniały były władze, a nie żywioły radykalne — ale zapowiedziany sukces Koła polskiego wyjaśnia... „ogromnemi sumami“, które arystokracya polska poświęciła na wybory!

Że zaś w tem szaleństwie jest metoda, jak powiada Szekspir, czyli innemi słowy, że już znowu wymyślono jakieś hasło, aby zohydzić Koło polskie, świadczy o tem fakt, że równocześnie w *Grazer Tagespost* pojawił się artykuł wstępny, który niemal dosłownie powtarza to samo, co w *Allg. Zeitung* wykłada pan F., dodając tylko różne szczegóły, jak ten, że owe neapolitańskie sumy poświęcili Sanguszkowie, Dzieduszyccy i t. d. „Gwałty“ więc, któremi wywijano przeciwko hr. Badeniemu, wyszły z mody, ale nastaje nowa faza oszczerstw na tle rzekomego kupowania głosów! Ten „Leitmotiv“ usłyszymy teraz zapewne częściej, a zatem protestujemy na samym początku. W każdym razie panowie F. e tutti quanti stanowczo stracili nadzieję zdziesiątkowania Koła polskiego, skoro się już teraz wysilają na śmiałe wymysły, aby naiwnym czytelnikom wytłómaczyć, dlaczego ich proroctwa zawiodły i dlaczego tak systematycznie spotwarzane Koło polskie, przebywszy szczęśliwie teraźniejszą próbę ogniową, powróci do nowej Izby jako czynnik wpływowy.

Przemawiając temi dniami przed swymi wyborcami w Igławie, liberalny poseł dr. Gross zauważył także, iż Polacy „z swych sojuszów ostatnich lat nie odnieśli dla siebie żadnych korzyści“. Dotąd bardzo często wmawiano w publiczność, że właśnie Polacy korzystali najwięcej z organizacyi prawicy. Kłamstwa te rozgłaszały zwłaszcza niektóre dzienniki czeskie, ale powtarzały je także niemieckie. Oświadczenie wymienionego posła niemieckiego nieco utrudni na przyszłość podobne kłamstwa.

Korespondencye.

Wiedeń 14 listopada.

(*Cyrk Barnuma*).

(y) Tutejszym teatrom, teatrzykom i innego rodzaju widowiskom przybył na sezon zimowy groźny konkurent, który niezawodnie ściągać będzie tłumy publiczności. Oto przedsiębiorstwo amerykańskie pod firmą Barnuma i i Bailey'a, zwane „najpiękniejszem widowiskiem świata“, zjechało do Wiednia na leże zimowe i rozkwaterowało się w rotundzie w Praterze. — Pierwsze przedstawienie odbędzie się dnia 25 listopada. Przyjazd tego przedsiębiorstwa do Wiednia poprzedziła prawdziwie amerykańska reklama, nie dziw jednak, przecież założycielem jego jest nie kto inny, tylko „król reklamy“ Barnum i do dziś dnia nosi ono jego firmę, a kierownikiem jego i współwłaścicielem jest dawny wspólnik i uczeń Barnuma, Amerykanin Bailey. Owóż przedewszystkiem rozlepiono po mieście potwornej wielkości afisze, szerokie na cztery lub pięć metrów, a na dwa metry wysokie. — Tłumy gawiedzi oblegały codziennie miejsca, w których te afisze się znajdowały i godzinami wpatrywały się w pstre obrazy na nich umieszczone, odgadując ich znaczenie. Cały świat zwierzęcy jest na nich reprezentowany: słonie, hipopotamy, lwy, tygrysy, strusie i kolibry, dalej grupy akrobatów, a obok nich rozmaitego rodzaju potworki ludzkie i zwierzęce. Wnet dzienniki w szpaltowych artykułach wyjaśniły znaczenie tych rycin. Z nich dowiedziała się publiczność, co to jest właściwie „cyrk Barnuma“. Otóż jest to kombinacya cyrku, menażeryi, teatru i muzeum osobliwości. Personal jego składać się ma z przeszło trzech tysięcy ludzi, pięciuset koni i mnóstwa zwierząt innego rodzaju. Przedstawienia odbywają się równocześnie nie na jednej, ale na trzech arenach. Kto nasyci się już widokiem tego, co się dzieje na arenie, lub na przyrządach gimnastycznych w powietrzu, albo kogo to nie bawi, ten może przechadzać się po galeryach, znajdujących się w głębi widowni, na krawędzi cyrku, a tam ujrzy innego rodzaju rzeczy: dzikie zwierzęta ze wszystkich stref i rozmaitego rodzaju „wybryki natury“, karłów i karlice, ludzi urodzonych bez rąk i nóg, mumie, okazy paleontologiczne itp.

Zaostrzywszy w ten sposób reklamą ciekawość publiczności, odbył następca Barnuma onegdaj wjazd do Wiednia. Plac przed dworcem kolei Franciszka Józefa i przyległe ulice zapełniły kilkudziesięciotysięczne tłumy, by przypatrzyć się temu niewidzianemu jeszcze w Wiedniu pochodowi. Czterema własnymi pociągami kolejowymi, składającymi się z 66 olbrzymich Barnumowskich wagonów i znacznej liczby odkrytych „lowries,“ zajechała karawana Barnuma na dworzec towarowy. Najpierw wyładowano 16 słoni, a niemałą uciechę sprawiał gawiedzi widok, jak ostrożnie złaziły te olbrzymy po przystawionej do wagonów równi pochyłej, jak schylały się i przyklękały, by wydostać się przez otwór niższy od nich. Wydostawszy się na plac, ustawiły się słonie parami i posłuszne każdemu skinieniu dozorców, pomaszerowały ulicami i placami do Prateru. Za słoniami prowadzono zebry, potem postępował długi szereg wozów, na których umieszczono klatki z dzikiemi zwierzętami. Do każdego takiego wozu przyprzągnięto sześć, ośm lub dziesięć koni cyrkowych. Na końcu pochodu znajdowała się grupa wielbłądów. Podziwiano powszechnie bajeczną szybkość, z jaką uskuteczniono wyładowanie tego olbrzymiego taboru. „Artyści“ i „artystki“ przybędą dopiero za kilka dni, gdyż na czas, zanim rotunda w Praterze zostanie zupełnie urządzona na przedstawienia, otrzymali urlop.

Do Wiednia zjechał cyrk Barnuma na zimę z tego powodu, iż w całej Europie jedynie rotunda może go pomieścić. W lecie daje cyrk Barnuma przedstawienia w namiotach, i to dwa lub najwyżej trzy, w mieście, liczącem około 100.000 mieszkańców, gdyż jak donoszą dzienniki, potrzebuje przynajmniej 36.000 koron dochodu dziennie, aby opędzić koszta administracyjne. Z tego powodu urządza się właściciel cyrku p. Bailey tak, że np. dziś daje przedstawienie w Norymberdze, a tymczasem ustawiają już jego ludzie namiot w Augsburgu; zakończywszy przedstawienie w Norymberdze, jedzie cyrk do Augsburga, gdzie bilety już poprzednio zostały rozsprzedane i już nazajutrz daje tam przedstawienie. Nadmienić wreszcie muszę, że cyrk ten jest po raz pierwszy w Europie, i że również wedle doniesień dzienników, których prawdziwości oczywiście nie mogłem sprawdzić, transport jego z Ameryki do Europy kosztował kilkaset tysięcy koron i tylko ze względu na te wielkie koszta przewozu, wolał p. Bailey przezimować w Wiedniu w rotundzie, aniżeli wracać do Ameryki. Na wiosnę wyruszyć ma ten cyrk w podróż na wschód Europy, może więc i w Galicyi zatrzyma się na kilka dni.

Ruch wyborczy.

Centralny komitet wyborczy odbył wczoraj prawie cztero-godzinne posiedzenie, na którem omawiano relacye poszczególnych komitetów powiatowych co do wyborów z kuryi V i IV. Komitet pełny upoważnił komisyę wykonawczą do zatwierdzenia niektórych kandydatur i ich ogłoszenia we właściwym czasie — co do innych zastrzegł sobie jeszcze decyzyę w przyszłości. Następnie omawiano obszernie projekt odezwy wyborczej. Uchwalono wypracowanie odezwy poruczyć specyalnej komisyi, która przedłoży ostateczny projekt pełnemu komitetowi centralnemu na następnem posiedzeniu, które odbędzie się dnia 22-go b. m. W odezwie tej będzie główny nacisk położony na to, że komitet centralny nie będzie zwalczał żadnego kandydata, do jakiegokolwiekby on należał stronnictwa, byleby tylko kandydat złożył uroczyste przyrzeczenie, że wstąpi do Koła polskiego i bronić będzie jego solidarności.

* * *

Dr. T. Rutowski odbył wczoraj po południu w Tarnowie sejmik relacyjny. Przyjęto dra Rutowskiego z ogromną niechęcią i nawet zanosiło się na kompletne rozbicie wiecu, zanim jeszcze ukonstytuowało się prezydyum. Z trudem wielkim udało się drowi Rutowskiemu wygłosić sprawozdanie z jego działalności poselskiej, zwłaszcza, że ustawicznie rzucał się na Koło polskie i na komitet centralny, a wysławiał swoje secesyjne dzieło zwane „koncentracyą demokratyczną“. O wyrażeniu votum zaufania, którego dr. Rutowski pragnął, podobno nie było i mowy, więc były poseł z miast Tarnów-Bochnia musiał odejść i bez votum zaufania i bez zaproszenia do ponownego postawienia swej kandydatury.

* * *

We Lwowie odbyło się we wtorek — jak donosi *Ruch katolicki* — zgromadzenie wyborcze w sali Stowarzyszenia zawodowego szewców im. Kilińskiego. Przemawiali kandydaci z lwowskiej kuryi V-tej, pp. Traczewski, ks. Fiałkowski i adw. dr. Jabłoński. Ruski radykał Pawlik proponował kandydaturę socyalisty Hudeca i zerwanie z Kołem polskiem, lecz wnioski te z oburzeniem odparto. Uchwalono wyznaczyć i zalecić oficyalnie najgodniejszego z kandydatów. Z przemówień wyborców wynikało, że większość sympatyi jest po stronie kandydatury robotników narodowych, tj. p. Ignacego Witoszyńskiego.

O bałamucących zegarach.

Time is money (czas — to pieniądz) mówią Anglicy. I słusznie. To też wszelkiemi siłami powinniśmy się starać o oszczędzanie czasu, a głównymi naszymi pomocnikami w tej mierze powinny być dobrze uregulowane zegarki. Niestety, u nas we Lwowie zegarki

---

17)

PAN PREFESOR

(Szkic wiejski).

(Ciąg dalszy).

Pan Jan zaczął się jakoś jąkać.

— Jestem młody i zdrów, zarobić na życie potrafię — ciągnął profesor. — Sądzę więc, że nie możecie państwo odemnie żądać, abym od was brał jałmużnę. Winienem z tej czy innej przyczyny, powinienem zapłacić i zapłacę. Od państwa wiele już żądam, prosząc o ułatwienie spłaty.

Pan Jan badał profesora, czy wychodził wieczorem lub w nocy ze swego pokoju, czy sen ma twardy, gdzie leżała torba z pieniądzmi, słowem, starał się wyjaśnić okoliczności, mogące stwierdzić sposób kradzieży.

Pan Buklowicz objaśnił, że w nocy nigdzie nie wychodził, że sen ma dosyć mocny, a torba była w szafie.

— Bo to, widzi pan — odezwała się pani Tekla — jest podejrzenie na Julkę.

Profesor okazał pewne zmieszanie, ale spytał:

— Czy są poszlaki?

Odpowiedziano mu o skaleczeniu się dziewczyny, o czem widocznie nic nie wiedział.

— Pan nie zamyka drzwi na klucz, mogła wejść w nocy i dostać się do pieniędzy.

Pan Buklowicz słowem zaręczył, że Julka nie jest winną, bo wiedzieć o pieniądzach nie mogła i dodał, że wogóle wyklucza wypadek kradzieży, gdyż złodziej zabrałby całą sumę z kopertą, a nie wybrałby sobie dwóch sturublówek.

Pan Gdulski wszakże zapowiedział, że dla samego porządku będzie się starał sprawę wyjaśnić.

Jakoż już od następnego rana zaczęły napływać wyjaśnienia.

Stróż zeznał, że całą noc poprzednią przesiedział w ogrodzie warzywnym, kazała mu bowiem szafarka dopilnować: kto marchew wykrada. Widział owej nocy dwie rzeczy: naprzód skradała się jakaś osoba niska, gruba i kulawa, rychtyk do ekonomskiej dziewki podobna, ale uciekła, nie doszedłszy do marchwi, bo stróż stojący kaszlnął; następnie widział wyraźnie w stronie okna profesora błysk światła, jakby ktoś zapalał papierosa; czy to było światło ze dworu, czy z pokoju — nie zauważył. Co się dalej działo, nie wie, bo nic więcej nie widział; słyszał jednak, że „coś szło, szło — i poszło“.

Szafarka twierdziła, że to ekonom stał pod oficyną i papierosa zapalał, czekając, na szczęście napróżno, aż jego dziewka marchwi w płachtę nakradnie.

Ekonom dowodził, że stróż łże od początku do końca i ofiarowywał się pokazać to miejsce, na którem stróż leżał w marchwi; a że legowisko bardzo silnie ubite, tedy samo przez się rozumieć należy, że „kanalia“ spał całą noc, jak zabity, a więc nie mógł nic widzieć.

Znalazła się stara baba z ósmaków, która tłómaczyła wszystkim, kto chciał słuchać, że pieniądze się wykryją, byle tylko kopać w ogrodzie pod lipami, gdyż jej się właśnie tej nocy śniło, że pod lipą nieboszyk jej mąż ogień rozpalił i piekł kartofle.

Owczarz, z tego snu biorąc asumpt, rzucił myśl, że pieniądze mógł ukraść ogrodnik.

Franciszek chętuie się do tego zdania przychylił i opowiedział wszystkim, ale po cichu, że złodziejstwo popełnili Julka z ogrodnikiem do współki, ponieważ oboje są oddawna w porozumieniu.

Jurek nie wytrzymał, zetknął się ukradkiem z Ferdynandem i wszystko mu powtórzył.

Wzmianka o porozumieniu z Julką więcej dotknęła Ferdynanda, niż posądzenie o kradzież. Złość zwyciężyła strach i nasunęła projekt obrony.

Ślady krwi na twardej suchej ścieżce ogrodowej dały mu możność odszukania miejsca, w którem dziewczyna przebiła sobie nogę. Wskazał tedy ślady szafarce i przekonał ją, że Julka odwiedzała profesora w jego pokoju, obierając drogę przez ogród i wchodząc przez okno, aby sień, w której Jurek sypiał, ominąć.

Teofilowa rozłożyła ręce, jak do ukrzyżowania i miała zamiar wznieść oczy ku niebu, że jednak wieczny szary szal osunął się z jej ramion, nasunęła go szybko i ułożywszy zręcznie w piękne fałdy, założyła ręce na piersiach i wyrzekła:

— O słodki Jezu! — potrząsnęła kilka razy głową i dodała: — Na rynku pasy-bym darła!

Ostrożny ogrodnik objaśnił, że nie może przysięgać, iż to wszystko, co mówił, naprawdę się zdarzyło, że jest to tylko przypuszczenie, tak jednak słuszne, że... ale mu przerwała szafarka.

— Pan Ferdynat nie przysięgniesz, to nic, ja mogę przysiądz! Chociam ich nie widziała, to za to teraz mam ich w oczach... Podzielili się pieniędzmi po tem wszystkiem... On nie jest człowiek, to antychryst!

— Jak on nas buntował z Jurkiem — wtrącił ogrodnik.

— Nie trza mnie mówić! — zawołała. — Ja wiem: on nawet dziecko pańskie zepsuł. Żenio opowiadał — samam słyszała — Marcinowi o tęczy, co przecie jest cudowny znak Boski, że to deszcz się w słońcu przegląda!

Na dalsze wywody nie było czasu. Teofilowej pilno było walczyć za prawdę i szukać sprawiedliwości.

Podzieliła się nową wiadomością z Franciszkiem i szukała pani Tekli. Znalazła ją w garderobie, u posłania Julki, która cierpiała ból niezmierny; wywołała na korytarz i podejrzenia ogrodnika jako własną najpewniejszą wiadomość podała.

Pani Tekla wysłuchała z wielkim spokojem. Szafarka nieraz później opowiadała, że nie mogła zrozumieć, jakim sposobem pani Tekla nie rzuciła się w tej chwili do besztania Julki, ale owszem napomniała Teofilową, żeby brzydkich plotek nie robiła. Ale tak to już jest na tym świecie, że u państwa wszystko od humoru zależy.

Tymczasem, żeby nie Teofilowa, do dziś dnia nie byłoby końca sprawy.

Szafarka, przedstawiając pani Tekli rzecz całą, nie hamowała na korytarzu swego głosu. Mówiła z tą werwą i donośnością, które sprawiają, że spokojny słuchacz nigdy nie przerywa i nie przeczy, w miłej nadziei, że króciej słuchać będzie zmuszony.

Julka niechcący dowiedziała się, o co chodzi, bo tuż przy ścianie korytarza leżała.

Rozgorączkowana bolem, przerażona strasznem oskarżeniem, zaczęła się zalewać gorżkiemi łzami.

Kiedy pani Tekla zajrzała znowu do garderoby, dziewczyna chwyciła jej rękę i całując tę rękę bez miłosierdzia, wyspowiadała się ze wszystkiego.

Pani Tekla i wtenczas nie podniosła krzyku; na szczęście jednak Teofilowa przytem nie była, więc i dziwić się w dalszym ciągu nie mogła.

Spokojna pani Gdulska dopiero wtedy omal że nie krzyknęła, kiedy Żenio wpadł do do jej pokoju z zapytaniem:

— Mamusiu! Mówią, że Julka przychodziła do pana Buklowicza w nocy przez okno. Dlaczego, mamusiu, przez okno?

— Dlatego, że ja ją posłałam.

W zwykłych okolicznościach odpowiedź taka wystarczala Żeniowi w zupełności; w danym jednak wypadku malec zażądał dopełnienia.

— Dlaczego mamusia ją posłała w nocy przez okno?

— Dlatego, moje dziecko, że pan Buklowicz zamknął drzwi na klucz, nie chciałam go budzić, a chcieliśmy z tatkiem czytać gazety, których profesor nie odniósł.

— Mamusiu, a dlaczego...

(Dokończenie nastąpi).

wskazujące prawdziwą godzinę należą do rzadkości, a to z tego powodu, że nie mamy ich według czego regulować. Zegary miejskie, które powinny ku temu celowi służyć, żyją z sobą w takiej niezgodzie, że niewiadomo, którego się trzymać. Każdy o tej samej porze wskazuje inną godzinę. I tak, kiedy na ratuszu bije dwunasta, zegar bernardyński wskazuje pięć lub dziesięć minut na pierwszą, zaś na kościele Maryi Magdaleny jest dopiero dziesięć minut do dwunastej. Stąd pochodzi, że mieszkańcy Lwowa albo spóźniają się do biura, na posiedzenia, do szkoły, na koncerta, do teatru i t. p., albo przychodzą zawcześnie i niepotrzebnie tracą czas na oczekiwanie rozpoczęcia wykładów, przedstawień i t. d.

Musiało się to już niejednemu dać dobrze we znaki, bo coraz częściej otrzymujemy listy ze skargami w tym względzie. Dziś znowu w tej sprawie otrzymaliśmy od jednego z naszych czytelników następujące pismo:

„W ruskiem seminaryum duchownem we Lwowie istnieje zegar na wieży, który już coś od czterech lat, jakby zdany li tylko na łaskę Bożą, idzie i bije kiedy i jak mu się podoba: raz wcześniej, raz później, albo też znów stoi, wskutek czego nietylko mieszkańcy sąsiednich ulic doznawają niemiłego zawodu, ale jest to także poniekąd i dla Lwowa, jako stołecznego miasta, dokąd wielu obcych przybywa, rzeczą kompromitującą".

Przed paru dniami otrzymaliśmy znowu skargę na zegar, umieszczony na frontonie gmachu pocztowego. Zegar ten bardzo często odpoczywa, jeżeli zaś jest nakręcony, to stale albo się śpieszy, albo się spóźnia, tak, że już zupełnie stracił reputacyę u publiczności lwowskiej.

Wogóle Lwów ma mało zegarów publicznych, a te, które są, żyją z sobą w takiej samej niezgodzie, w jakiej żyją nasze polityczne stronnictwa przed wyborami.

Na pocieszenie jednak mieszkańców Lwowa możemy powiedzieć, że w wypadku tym nie stoimy odosobnieni. Warszawiacy znajdują się w tem przykrem położeniu, że nie mają według czego regulować zegarków, a wychodząca w Warszawie *Gazeta polska* zamieściła właśnie w tej sprawie pełen utyskiwań artykuł, z którego nadto dowiedzieliśmy się bardzo zabawnej rzeczy, mianowicie, że tamtejsza publiczność jest traktowana przez Zarząd kolei wiedeńskiej, jak szkolne dzieci. Zegar bowiem wieżowy na dworcu tej kolei wskazuje stale o 8—10 minut więcej, niż wskazuje obserwatoryum, a to w tym celu, aby pasażerowie nie spóźniali się do pociągu.

Jako główną przyczynę tego, że zegary warszawskie wskazują zawsze zły czas, podaje *Gazeta polska* zbyt znaczną odległość obserwatoryum warszawskiego od środka miasta. Chcąc umożliwić publiczności częste regulowanie zegarków, próbowano przez jakiś czas praktykowanego w Paryżu, w Wenecyi, w Petersburgu i wielu innych miastach środka, mianowicie strzelano w południe z armat. Jednak zwyczaju tego zaniechano, gdyż strzelanie z armat okazało się niezbyt praktyczne z powodu wielkości miasta, a dość kosztowne. Próbowano jeszcze innych środków, jak np. urządzenia zegarów elektrycznych, ale i to okazało się za kosztowne. Skończyło się więc na tem, że Warszawa ma jak i dawniej, źle uregulowane zegary, różniące się między sobą o kilka a nawet kilkanaście minut, co dla ludzi pracy stanowi bardzo wiele. Aby temu złemu zapobiedz, podaje jakiś astronom w *Gazecie polskiej* dobrą i stosunkowo dość tanią radę.

Pisze on tak: „Przedewszystkiem powinien być w śródmieściu jeden zegar, któryby wskazywał czas należycie, co ułatwiłoby zegarmistrzom i w ogóle mieszkańcom sprawdzanie swych zegarków; dla uniknienia niedokładności zegar powinien być stale regulowany nie przez porównywanie z obserwatoryum, lecz bezpośrednio z biegu gwiazd.

Zatem w ogrodzie Saskim należy wznieść niewielkich rozmiarów kiosk, wewnątrz którego mieściłoby się narzędzie astronomiczne, zwane lunetą przejściową, służące do regulowania zegarów z przejścia gwiazd przez południk. Lunety przejściowe są nieodzownem narzędziem wszelkich obserwatoryów; w małych rozmiarach mogą służyć do wyznaczania czasu z dokładnością 1—2 sekund, a większej nie potrzeba do celów praktycznych. Ponieważ każda gwiazda przechodzi przez południk danego miejsca zawsze o jednym czasie gwiazdowym, zatem ustawiwszy narzędzie tak, ażeby luneta mogła się obracać wyłącznie w płaszczyźnie południka, można przekonać się, czy gwiazda przechodzi przezeń w swoim czasie, czy też nie i w miarę tego sprawdzić, o ile sekund zegar pośpiesza lub się opóźnia. W tym celu pośrodku lunety należy przeprowadzić nitkę pajęczą, a wtedy każdy, niezbyt nawet biegły w badaniach astronomicznych mógłby doskonale obserwować moment, w którym ta lub owa gwiazda przesuwałaby się przez ową nitkę pajęczą z jednej połowy lunety na drugą. Moment przesuwania się gwiazdy przez ową nitkę pajęczą wskazywałby, która godzina jest w danej chwili i na danym punkcie ziemi, albowiem z rachunku matematycznego i z astronomicznych obserwacyj wiemy doskonale, o której godzinie, minucie i sekundzie przechodzi każda dana gwiazda przez południk każdego danego punktu na ziemi".

Nie wiemy, czy Warszawa skorzysta z tej rady, chociaż jest ona niewątpliwie bardzo dobra. Z tem wszystkiem, gdy się nad tą sprawą głębiej zastanowimy, zobaczymy jak we wszechświecie dziwnie rzeczy wzniosłe i wielkie wiążą się z małemi i nic nie znaczącemi. Oto przypuśćmy, że magistrat lwowski usłucha rady tego astronoma i na wałach hetmańskich zbuduje nam kiosk, w którym byłaby luneta nastawiona w taki sposób na niebo, iżby w niej widziało się przechód gwiazd przez nitkę pajęczą umieszczoną w jej środku. I teraz pomyślmy sobie: Oto tam gdzieś w przestworzu, w oddaleniu milionów mil od nas wędruje sobie po swych szlakach odwiecznych jakaś olbrzymia gwiazda, tysiące razy większa od naszej ziemi, a może i od słońca naszego; wędruje i ani domyśla się tego, że tam gdzieś na jakiejś małej planecie, Ziemią zwanej, planecie, tak małej, że mogącej uchodzić za pyłek wśród astronomicznych kolosów, znajduje się małe stworzenko, zwane człowiekiem, a tak sprytne i inteligentne, że oto dawszy dajmy na to *rendez-vous* swojej ukochanej i niechcąc się na nie spóźnić, biegnie do jakiejś lunety, przypatruje się przejściu tej gwiazdy przez nitkę pajęczą, reguluje odpowiednio swój zegarek i pędzi na schadzkę miłosną. No i czyż to nie jest zestawienie najskrajniejszych ostateczności?

Co i o czem piszą.

Kronikarz krakowski *Nowej Reformy* opowiada o różnych niezbyt legalnych praktykach stróżów kamienicznych, które zdarzyło mu się odkryć przypadkiem.

Wyszedłszy z wizyty od moich znajomych — pisze on — znalazłem się w sieni, gdzie utonąłem w egipskich ciemnościach. Zapalając jedną zapałkę po drugiej, dostałem się na dół i zacząłem dzwonić, brama bowiem już była zamknięta, chociaż brakowało 20 minut do dziesiątej. Zapytałem stróża o powód tak wczesnego zamknięcia bramy i otrzymałem bardzo otwartą odpowiedź:

— A to wedle tego sknery z trzeciego piętra— mówił stróż.—Siedzi kamieniem w domu i odkąd się sprowadził, nigdy od niego nie widziałem „špery", a na Nowy Rok zamknął się i udawał, że go nie ma w domu. Dzisiaj wypenetrowałem, że poszedł po coś na drugą stronę do sklepu, więc ja zaraz „chlast" bramę, niech raz chociaż zapłaci. Przecież to sprawiedliwe.

Zaledwie jednak otworzyła się brama, wpadł do sieni ze zwinnością kota jakiś niepozorny człeczyna i szybko pomknął na schody.

— A bodaj cię „skręciło!" — zawołał stróż. — Widzi pan, jaki to sknera! Czatował pod bramą i wcisnął się do kamienicy zadarmo.

Zwrócił się ku schodom, pogroził pięścią i krzyknął w nieostrożnem uniesieniu:

— Poczekaj kutwo! będę ja kradł węgle z piwnicy gospodarza i sprzedawał ci za pół darmo! Niema głupich!

Wracając do domu, rozmyślałem, jak to czasami bardzo oryginalnie żyje lokator ze stróżem i jak oryginalniej jeszcze zachowują się obydwaj w obec pewnej, nudnej pani, której na imię: uczciwość...

* * *

Korespondent z Madrytu *Kuryera Poznańskiego* opowiada w swym ostatnim liście zajmujące rzeczy o upodobaniu Hiszpanów w strojeniu się. Pisze on tak:

Zbytek w Madrycie jest wielki i rozgałęziony szeroko. Niektóre rodziny wolą przymrzeć z głodu, byleby módz ubrać się modnie i wytwornie. Ubiór i ozdoby odgrywają tu wielką rolę, a każdy się stara o dobrą materyę i elegancki krój sukni. W Madrycie noszą ogromnie wiele ozdób i kosztowności, bowiem wszystkie ludy południa są rozmiłowane w błyskotkach. Hiszpanie jednak przodują innym pod tym względem. Każdy kupczyk i drobny urzędnik dąży do tego, by módz włożyć na palec pierścień brylantowy i są handle, w których za stosunkowo umiarkowaną cenę wypożycza się panom lub paniom kosztowności na przechadzkę. Tym sposobem mogą nosić żony i córki skromnych urzędników na ulicy piękne kolczyki, bransoletki itd. Obecnie drożyzna, panująca w Madrycie, utrudnia bardzo spełnianie zachcianek zbytkownych. Ceny za wszystkie artykuły poszły niesłychanie w górę. Mieszkania, węgle, drzewo i inne materyały podrożały tak bardzo, że jeśli się to nie zmieni, to nie wiem doprawdy, jak wyżyją biedniejsze klasy ludności. Wzrasta też nędza i ona to niezawodnie jest przyczyną, że zachodzi tutaj tyle samobójstw. Gdy zapada zmrok nad stolicą i światła dziennego nie zastąpiły jeszcze elektryczne lampy, wtenczas Madryt otacza głęboka i smętna posępność. Jestto godzina, w której popełnia się tutaj najwięcej samobójstw. Niedaleko od królewskiego pałacu, który w swym imponującym przepychu przetrwał wiele pokoleń, między kościołem św. Franciszka a fundamentami nowo budującej się katedry znajduje się wiadukt wysoki ponad ulicą Saragossy. Jestto szeroki most, zaopatrzony w misternie powiązaną kratę. Ten wiadukt służy najczęściej samobójcom za miejsce do wykonania ich bezbożnych zamiarów. Wprawdzie ustawiono tam policyę, której zadaniem jest przeszkadzać samobójcom w spełnieniu smutnych zamysłów, ale ci urzędnicy po większej części nie są dość zwinni.

* * *

Znany artysta-malarz p. Ludwik Stasiak ogłosił w dwóch ostatnich numerach *Sportu* bardzo zajmująco i barwnie pisany artykuł pt. „Obława na łososia na Popradzie". Musi być coś niezmiernie malowniczego w takiej nagonce na łososie, urządzonej przy blasku pochodni, wśród krzyków naganiaczy, strzałów pistoletowych i piekielnej muzyki na różnych improwizowanych instrumentach. Oto obława zbliżyła się już do Żarnowca, gdzie Poprad ma niezgruntowane odmęty, głębie, wiry i straszliwe samorody skalne (głazy olbrzymie).

„Toń Popradu jest granatowa a woda nie płynie tutaj, lecz stoi nieruchoma, strasząc swym spokojem, swą ciszą. Tu pod Żarnowcem mieszka łosoś, pławiąc się w głębinie. Wiedzą o tem wszyscy, nikt jednak z górali dostać go stamtąd nie może, bo wśród kamiennych ogromów nie znaczy nic sieć, nie da się użyć niewód. Jedynie nagonka potrafi wypędzić stąd to królewskie zwierzę.

Dopóki obława mogła zgruntować koryto Popradu, szła naprzód, zagradzając rzekę sieciami. Tu pod Żarnowcem iść dalej niepodobna, bo odmęt nie pozwala. Zastawiono więc sieci, aby łosoś nie uciekł na dół, i zaczęto go straszyć na wszelkie sposoby. Przedewszystkiem sprowadzono łódź. Wsiedli na nią ludzie, którzy przynieśli z sobą kilka miedzianych patelń kuchennych, łańcuchów od wozów i nabitych pistoletów. Bito w patelnie kijami, dzwoniono łańcuchami i strzelano w powietrze. — Rozpoczęła się piekielna iście muzyka, któraby z pod kamieni była w stanie wystraszyć nawet dyabła, nie tylko biednego łososia. Wiosłami łodzi i drągami okutemi uderzano w dno rzeki, kotłowano u stóp samorodów, burzono dziury w kamieniach, gdzie się może kryć ryba. Kilku junaków dało nura w wodę, strasząc rękami podrybka (łososia) i pędząc go do góry.

Olbrzymią tę awanturę przerwał krzyk ludzi, że jeden z rybaków tonie... Rzucono się wnet na pomoc i wydobyto z wody zdrowego, dzięki Bogu, topielca. Pokazało się, że gentleman ten na rachunek zysków z obławy za dużo wypił siwuchy i w stanie nietrzeźwym jął wodę gruntować, skutkiem czego dostał się na dno odmętu. Górale, wydobywszy go z toni, dali mu natychmiast admonicyę, aby pijany do wody nie chodził. Umoralniających tych uwag udzielono mu przeważnie kijem...

Obława ruszyła dalej. Zaczęła się znowu płytsza woda, szeregi więc rybackie sformowały się na nowo i szły dawnym trybem i porządkiem, z tą tylko różnicą, że coraz staranniej zastawiano rzekę, bo gromady ryb z milowej przeszło popradowej przestrzeni spędzone były na niewielkiem stosunkowo miejscu i coraz częściej w sieci rybackiej znalazł się jelec lub cyrt, przeczuwający snadź oborę i ratujący się ucieczką wstecz.

I coraz częściej wyrzucano ryby na brzeg.

Jakiś góral ze środka Popradu woła na mnie:

— Panie, panie, łapcie węgorza.

I rzucił ku mnie wspaniałą, półtora łokcia długą rybę. Był to węgorz, jak ręka przy dłoni gruby, pokryty czarno-zieloną skórą, jak aksamit połyskującą. Wił się po ziemi i rzucał, chcąc popełznąć do wody, dostać się do swego żywiołu. Schwytany w ręce, patrzał na ludzi małemi ślepkami, w których malowała się poczciwość i niewinność... Łotr!... W pysku miał jeszcze na wpół żywą rybę, której nie zdążył pożreć, bo go rybacy wśród uczty żywcem do niewoli wzięli. To trudno, walka o byt... Ty jesz rybę, ludzie ciebie zjedzą. Oko za oko, ząb za ząb, a życie za życie. To smutne prawo istnienia, że zwierzę je zwierzę, ryba je rybę, a człowiek, jak mówi pessymista... człowieka.

Proces Hilsnera.

(Telegramy „Przeglądu").

Pisek 15 listopada. *Resumé* przewodniczącego trwało do godz. $^3/_4 2$ popołudniu. Przewodniczący omawiał po kolei pytania, postawione sędziom przysięgłym, następnie mówił o opinii medycznego wydziału czeskiego uniwersytetu i uznał wszystkie usiłowania aby tej opinii odjąć wartość naukową, za płonne. Opinii tej należy się bezwzględne poszanowanie jako pochodzącej od naukowej instytucyi, a jeżeli ktoś, który mniej umie, przechodzi do porządku nad zdaniem tego, co więcej umie, to musi mieć chyba jakieś osobiste ku temu pobudki. Przewodniczący zakończył apelem do przysięgłych, aby pomni swej przysięgi, wydali wyrok jako ludzie rzetelni i prawi, i mieli tylko to na oku, co tu w sali zaszło, a nie powodowali się ani żadnym wpływem postronnym, ani dawniejszym wyrokiem.

Sędziowie przysięgli udali się na naradę a powróciwszy zaprzeczyli jednogłośnie pytanie co do skrytobójczego morderstwa, popełnionego na Hruzównej, potwierdzili jednogłośnie pytanie co do współwiny w zamordowaniu Klimównej i co do oszczerstwa, oraz pytanie dodatkowe co do współwiny zamordowania Hruzównej. Na tej podstawie trybunał wydał wyrok skazujący Leopolda Hilsnera na śmierć przez powieszenie.

Po ukończeniu rozprawy przyjęto na ulicy wychodzących ze sali sędziów przysięgłych i adwokatów Baxę i Pewnego okrzykami „Slava" a obrońców Auredniczka i Wodickę, którzy wyszli pod ochroną policyi okrzykami „Hańba!". Przyszło również do demonstracyi przed pomieszkaniem Auredniczka a dopiero po upomnieniu ze strony dr. Baxy tłum rozprószył się. O 5-ej wszędzie panował już spokój. Obrońca dr. Auredniczek zgłosił zażalenie nieważności.

Straszne morderstwo

popełnione na Rusinach w Brazylii.

Rozbestwione żołdactwo brazylijskie dopuściło się przed dwoma miesiącami okropnego mordu kolonistów ruskich, mieszkających w osadzie Janda w Brazylii. Z powodu ogromnej odległości, dopiero teraz doszły do Europy o tej zbrodni szczegółowe wiadomości, które podajemy. W Jandzie mieszka około 123 rodzin polskich i ruskich, a ogólna liczba kolonistów dochodzi tam do 220. Znajduje się tam także stacya wojskowa z załogą 20 ludzi, kapitanem i dwoma oficerami. Żołnierze stale dopuszczają się strasznej samowoli i gwałtów.

Po misyi urządzonej w Jandzie przez ks. Martyniaka, zanocowało dość ludzi w pobliskiej kolonii. W nocy kilku pijanych żołnierzy, uzbrojonych w kije i noże przybyło przed chatę Mykełyty. W chacie były same kobiety i dziewczęta, w stodole zaś obok spało ze 30 mężczyzn. Żołnierze przybywszy przed wspomnianą chatę, zaczęli wywoływać do siebie córkę Myketyty, a gdy ona nie chciała wyjść, poczęli nożem rąbać drzwi i okna chaty, tak, że śpiący mężczyźni się przebudzili, a trzej z nich, tj. właściciel chaty Myketyta, Hryć Hass i Jurko Muzyka wyszli na dwór. Mykełyta zapytał żołnierzy, czego chcą, a w odpowiedzi otrzymał uderzenie w głowę. Dwaj pozostali włościanie rzucili się w obronie Myketyty na żołnierza i trochę go poturbowali. Towarzysze jego natychmiast sprowadzili porucznika z częścią załogi i poczęli strzelać do chaty. Jednego z zamkniętych w chacie, Onufrego Horodeckiego, zabito. Widząc, na co się zanosi, wyszedł Mykełyta na dwór z prośbą, aby żołnierze odstąpili. Rozszalałe jednak żołdactwo poczęło go zaraz okładać kijami, tak, że ducha wyzionął; później w trupa już 3 kule wpakowano, a następnie zadano nieszczęśliwej ofierze 7 ran w brzuch. Niebawem rozwalono chatę i zburzono do szczętu, zamordowano w okropny sposób dwunastoletniego syna Mykełyty, a kilku innych włościan poraniono w sposób bestyalski. Jedna z kobiet, ratując się ucieczką, zostawiła w chacie 2 i pół miesięczne dziecko, które jeden z rozbestwionych żołnierzy ciął nożem tak, że biednemu maleństwu oko wypłynęło. Wszyscy poranieni, wymordowani, byli obywatelami austryackimi. Żołnierzy i owego porucznika kazał rząd brazylijski aresztować, a całą sprawą zajął się konsul austryacki, p. Pohl, który wszelkich dokłada starań, aby rząd brazylijski ukarał winnych.

KRONIKA.

Lwów 15 listopada.

Wiadomości urzędowe. Profesor gimnazyum w Jaśle Kasper Brzostowicz otrzymał posadę w państwowej szkole realnej w Krośnie.

Z powodu śmierci Stanisława Sznür-Pepłowskiego zebrał się wydział Towarzystwa dziennikarzy polskich wczoraj o godzinie 6ej wieczorem na nadzwyczajne posiedzenie, na którem po przemówieniu prezesa uchwalono jednogłośnie: przesłać imieniem wydziału Towarzystwa dziennikarzy polskich kondolencyę wdowie, złożyć na trumnie wieniec z napisem: „Nieodżałowanemu sekretarzowi — Towarzystwo dziennikarzy polskich", uprosić towarzystwa śpiewackie „Lutnię" i „Echo" do współudziału w pogrzebie, wezwać za pośrednictwem dzienników i osobnymi plakatami wszystkich członków Towarzystwa do współudziału w pogrzebie, upoważnić prezesa Towarzystwa do wygłoszenia mowy nad grobem i urządzić nabożeństwo żałobne. Na tem na znak żałoby posiedzenie zamknięto.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. Piątek 16 listopada. Zakład fizyczny (Długosza 8) godz. $7^1/_2$. Prof. dr. J. Zakrzewski: O świetle. Na prowincyi odbędą się w niedzielę dnia 18 listopada następujące wykłady: W Drohobyczu prof. dr. J. Siemiradzki: Jak powstały góry? — W Przemyślu prof. dr. G. Roszkowski: O sądach polubownych w sprawach międzynarodowych. — W Samborze prof. dr. W. Wehr: O ranach a bakteryach. — W Stanisławowie prof. M. Westwalewicz: Woda i powietrze. — W Stryju dr. Aleksander Lisiewicz: Prawo w życiu codziennem. — W Tarnopolu prof. Zamorski: Cywilizacya współczesna. — W Złoczowie prokurator Józef Młynarski: O prawie wekslowem.

Nowy kościół. W Porębie Zegoty, w powiecie chrzanowskim, poświęcono i oddano do użytku wiernych nowy kościół parafialny, wzniesiony kosztem 44.000 K., do czego kwotą 24.000 K. przyczynił się kolator Józef hr. Szembek, a kwotą 9000 K. Andrzej hr. Potocki, który w obrębie tej parafii posiada kilka folwarków.

Zmiana obrządku. Pewna część mieszkańców wsi Dubno, oddalonej od Leżajska o 10 kilometrów, przechodzi z obrządku łacińskiego na grecko-katolicki. Kilka rodzin z tej wsi już w październiku urzędownie oświadczyło o zmianie obrządku; reszta mieszkańców obrządku rzymsko-katolickiego zamierza to uczynić w czasie jak najbliższym. Za ich przykładem zamierzają pójść także mieszkańcy przysiołka Chałupki, liczącego chat 50. Powodem tej zmiany obrządku mają być ciężary konkurencyjne na rzecz kościoła parafialnego w Leżajsku.

Pojedynki. Onegdaj odbyły się we Lwowie dwa pojedynki. Pan T. urzędnik Towarzystwa kredytowego, znieważony czynnie w kawiarni przez słuchacza techniki, pana K., wyzwał tego ostatniego na pistolety. Obaj przeciwnicy wyszli z tego pojedynku cało.

Drugi pojedynek odbył się tego samego dnia na szable pomiędzy panem dr. T. a urzędnikiem przedsiębiorstw naftowych panem Z. Dr. T. odniósł ciężką ranę w rękę.

Król tenorów—przewodnikiem hotelowym. Władysław Mierzwiński, uwielbiany niegdyś przez świat cały tenor, utraciwszy głos, zarabia obecnie na życie oprowadzaniem obcych po Paryżu. Zajęty on jest stale w paryskim Grand-hotelu, gdzie z nim kilku lwowian niedawno rozmawiało.

„Narodna hostynnycia", ruskie Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką dla zakładania ruskich hoteli, restauracyi i pokoi do śniadań, zawiązało się we Lwowie. Działalność swoją zamierza to Stowarzyszenie rozwijać w całym kraju i podobnie jak „Narodna torhowla" kształci kupców, „Hostynnycia" pragnie kształcić restauratorów i kelnerów.

Konkursa rozpisują: Rada szkolna okręgowa w Rudkach na kilkadziesiąt posad nauczycielskich w Komarnie, Rudkach, Chłopach, Czajkowicach, Podhajczykach, Rumnie, Tuligłowach i w wielu wiejskich szkołach jednoklasowych; termin do 15 grudnia. — Namiestnictwo na posadę weterynarza krajowego w VIII randze; termin do 15 grudnia.— Sąd kraj. wyższy w Krakowie na posady radzców sądu krajowego dla sądów obwodowych w Rzeszowie, Wadowicach i Nowym Sączu z terminem do 4 grudnia, a dla wysłużonych podoficerów na posady kancelistów w sądach: wadowickim, żywieckim, nowosądeckim, wielickim i gorlickim — z terminem do 18 grudnia.

Napad, o którym donieśliśmy w numerze onegdajszym, nie rozegrał się w redakcyi *Monitora*, lecz w lokalu wyborczym p. Breitera przy ul. Kopernika l. 17.

Z Zakopanego nam piszą: Jakkolwiek tatrzańskie szczyty nasze dawno już śniegiem pokryte, iskrzą się w słońcu, zimy, tej aksamitnej zimy zakopańskiej, jeszcze nie mamy. Nie możemy jednak uskarżać się na brak pogody, gdyż w tym roku nie znamy wcale co to jest szare niebo jesienne, a słońce darzy nas hojnie swojemi łaskami. Pod jego też ożywczym blaskiem budzi się obumarłe od paru miesięcy chwilowo Zakopane na nowo do życia, pociągi przywożą coraz to nowych kuracyuszy, a liczne pensyonaty, których liczba urosła w ostatnich czasach do poważnej cyfry kilkudziesięciu, zaczynają zaludniać się powoli.

Jednym z najgłówniejszych punktów, w którym skupia się ruch i życie Zakopanego, jest Klemensówka p. Bauera, pensyonat, który choć tak niedawno, bo niespełna przed dwoma laty otwarty, potrafił wydobyć się na plan pierwszy. Już samo położenie zakładu, wysokie, zdala od kolei, w miejscu otwartem (zakład, można powiedzieć, kąpie się w słońcu), z lasem naprzeciw, daje zdrowie, urok i wygodę, a cóż dopiero, gdy do tych warunków klimatycznych dodamy znakomitą i tanią kuchnię, doktora w miejscu na każde zawołanie, przedewszystkiem zaś fenomenalną iście na tutejsze stosunki uczciwość i sumienność gospodarza, jego uprzejmość, troskliwość i rodzicielską niemal opiekę, jaką gości swoich otacza, starając się nietylko o ich przyjemności i wygody, ale co więcej, o zadowolenie nawet ich kaprysów i zachceń. Nic też dziwnego, że każdy, odjeżdżając z Klemensówki, wywozi nietylko żal za górami, ale także i żal za zakładem, w którym przeżył niejedną miłą i wesołą chwilę, i potrafił nieraz zapomnieć, że go setki mil dzielą od bliskich i ukochanych.

Gdybyż tak jeszcze Dyrekcya kolei choć w setnej części chciała dbać o wygody i zdrowie kuracyuszy i nie kazała im (przy nocnych pociągach do Krakowa i odwrotnie) odbywać czterogodzinnej kwarantanny w Chabówce, a szanowna pani Klimatyka litościwe oko raczyła obrócić na nas, haracz płacących, i nie kazała nam topić się w błocie, mielibyśmy tu raj na ziemi. Gdy jednak rzadko bywa niebo bez chmury, cieszmy się i my zatem, że ten uroczy zakątek, to nasz własny, taki kochany, gdzie nieraz, ciężką wyczerpani pracą, schronić się możemy od zgiełku wielkiego miasta, zaczerpnąć nowych sił do walki i życia i wymienić garść myśli i uczuć z braćmi z całej Polski naszej, którzy chętnie latem i zimą zjeżdżają do Zakopanego. *N. B.*

Na licytacyę. Żywiecka fabryka sukna Stefana Kossutha i spółki wraz z całą realnością fabryczną wystawiona została na licytacyę. Cena szacunkowa wynosi przeszło 133.000 K. Licytacya odbędzie się 20-go grudnia w Żywcu.

Usiłowana zbrodnia na tle erotycznem. Z Radłowa donoszą: Przed trzema tygodniami ktoś włożył w ognisko kuchenne w domu dyurnisty sądowego Makowca pakiet, polany naftą, a zawierający funt prochu. Żona Makowca spostrzegła jednak ów pakiet, gdy roznieсała pod kuchnią ogień, i bez nieszczęścia się obeszło. Atoli dnia 11 bm. na polu dworskiem w Radłowie napotkał żandarm jakąś nieznaną kobietę, o inteligentnym wyglądzie, w ubraniu jakby zarobnicy. Żandarm zaaresztował tę kobietę, a przy rewizyi znaleziono u niej funt prochu, używanego do rozsadzania kamieni, lont, brzytwę i dwa listy miłosne, pisane przez wspomnianego dyurnistę Makowca. Aresztowana podaje, że nazywa się Marya Juszczakiewicz i pochodzi z Chrzanowa, i że z powodu niewierności Makowca ku niej, zamierzała jego żonę, którą poślubił przed pięcioma miesiącami, zgładzić ze świata, ażeby Makowiec mógł się następnie ożenić z Juszczakiewiczówną. Sprawę oddano sądowi.

Konkurs muzyczny. Hrabia Maurycy Zamoyski przeznaczył znaczny fundusz na systematyczne ogłaszanie konkursów muzycznych. Obecnie rozpisany został konkurs na symfonię, suitę, lub inny większy utwór na orkiestrę (nagroda 1000 rubli); tudzież na koncert na fortepian, skrzypce lub wiolonczelę (nagroda 500 rubli). Prace nadsyłać należy do zarządu Filharmonii warszawskiej aż do 15 kwietnia 1901 r.

Kuratela. W *high-life*'ie paryskim niemałe wrażenie wywołała decyzya trybunału, orzekająca kuratelę nad hrabiną Bonni de Castellane, z domu p. Anną Gould. Renta, otrzymywana przez młode to małżeństwo, a stanowiąca „tylko" trzy miliony franków rocznie, okazała się tak niedostateczną, iż w ciągu trzech lat deficyt wyniósł dwadzieścia dwa miliony franków z górą. Rodzina Gouldów, mimo miliardowego niemal majątku, zlękła się o przyszłość siostry. Postanowiono zmusić ją do oszczędności. Pani de Castellane będzie musiała teraz ograniczyć się w wydatkach, nie spotka bowiem już kredytu.

Rozprawy sądowe ujawniły, w jaki sposób można najłatwiej tracić olbrzymie sumy. Ani pięćset par spodni hrabiego de Castellane, ani sto „fantazyjnych" kamizelek i „futerko" za 55.000 franków nie sprowadziłyby ruiny; córka nababa amerykańskiego mogła sobie również śmiało pozwalać na najdroższe cacka od Boucheron'a lub Lalique'a. Najniebezpieczniejszą pochyłością okazało się zamiłowanie do antyków. W przeciągu pięciu lat obroty, jakich hrabiostwo de Castellane dokonali ze słynnym londyńskim handlarzem starożytności, Wertheimerem, wyniosły ośm milionów franków; obecnie są mu jeszcze dłużni dwa miliony.

Katastrofy na Czarnem morzu. W ostatnich dniach października na morzu Czarnem szalała straszliwa burza między Odesą a Batumem. Wszystkie większe okręty wskutek burzy przybyły do portów ze znacznemi uszkodzeniami. Małe statki w liczbie kilkunastu poszły na dno. Jeden z małych parowców pod Tarhankutem (w drodze do Sebastopola) w miejscu najbardziej niebezpiecznem dla przejazdu nawet dla dużych okrętów, rozbity został o skały i zatonął razem z załogą złożoną z 14 osób. Drugi statek, naładowany solą, szedł do Odesy i gdy go zaskoczyła burza, rzucił ładunek do wody, aby łatwiej mógł dobić do najbliższego portu. Niestety, przecenił kapitan siłę swego statku, który został pochwycony przez huragan i poniesiony na morze. Trzy dni załoga okrętu walczyła z rozhukanem morzem, i wycieńczona od głodu i chłodu zdała się na los Opatrzności. Jakoż na odległości kilkunastu mil morskich majtkowie ujrzeli płynący jakiś okręt. Zaczęto więc podawać sygnały, które zauważono z okrętu i ten skierował się w stronę rozbitków. Dojechawszy na odległość kilku mil, okręt niewiadomo z jakiego powodu zawrócił i popłynął dalej, pozostawiając nieszczęśliwych na zdruzgotanym do połowy statku, na którym już woda od dna zaczęła się pokazywać przez szczelinę. Znów przebyto w strasznych oczekiwaniach drugą noc. Wszystkie zapasy żywności wyczerpały się i nie było nadziei uratowania się, gdyż burza wzmagała się coraz straszniejsza. O świcie rozbitki zauważyli drugi okręt. Znów zaczęto dawać sygnały, wywiesiwszy jakiś kawał czerwonej płachty, którą z okrętu zauważono. Statek podjechał prawie pod samych rozbitków, lecz tak jak i poprzedni zawrócił i pojechał dalej. Teraz rozbitki stracili zupełną nadzieję uratowania się, bo ich statek coraz więcej nabierał wody. Wodę wypompowywano i liczono już tylko na to, że jakimś cudem może wyratują się rozbitki, gdy ich wiatr doniesie do jakiego brzegu. Trzeciego dnia ujrzano na horyzoncie jakiś statek, który szedł dość szybko, chociaż szalała burza. Na jakimś drągu, odnalezionym w kajutach, wywieszono kawał kolorowej szmaty i zaczęto bić w dzwon. Te sygnały doszły zapewne do okrętu, bo natychmiast skierował się w stronę rozbitków i całą siłą pary jechał do nich. Po upływie godziny okręt znalazł się obok nieszczęśliwych ofiar burzy i spuściwszy szalupy, zabrał wszystkich na swój pokład. Zaledwie okręt odpłynął kilkanaście sążni, gdy rozbity statek poszedł na dno. Rozbitków ogrzano, nakarmiono i odstawiono do Odessy, gdzie zaraz wszystkich odwieziono do szpitala, gdyż zachorowali silnie wskutek przeziębienia, przemoczenia i głodu.

Ogółem rozbitych statków skutkiem burzy naliczono w odeskich portach piętnaście sztuk, które poszły na dno morskie, nie licząc statków uszkodzonych przez fale i huragan.

Z dziedziny mody. Obecnie, jak wiadomo, najmodniejszym jest w umeblowaniu styl *empire*, bodaj nawet czy nie modniejszym jest od secesyi, która się prędko opatruje. Wszystkie tedy goniące za modą domy starają się o mahoniowe meble *empire* i oczywiście za prawdziwe, datujące się z początku bieżącego stulecia, płacą bajońskie sumy. Jakże więc wobec tego zabawnie wygląda to, co kronikarz *Kuryera warszawskiego* z przed laty siedmdziesięciu pięciu pisał w swem sprawozdaniu z daty 15 października 1825 r. o modzie panującej wówczas w umeblowaniu salonów warszawskich. Oto są jego słowa: „Drzewo mahoń wychodzi z mody! Gdzie są meble z tego pięknego i trwałego drzewa, taki apartament już nie należy do dobrego tonu. Modne meble powinny być snycerskiej roboty. Sofy, kanapy, taborety, krzesła okrywa się teraz aksamitem gładkim, obszytym złotą lub srebrną frędzlą".

A o modach męskich i damskich wówczas panujących pisze on tak:

„Najmodniejsze są kamizelki à la Frejszyc, to jest: w paski czerwone i czarne; widziano ich wiele i w Warszawie, a że Frejszyc tak nadzwyczajnie podobał się i w Paryżu, kolory takowe już są uznane i w stolicy eleganckiego świata za najmodniejsze. Damy noszą suknie w takież paski, lecz stanik i rękawy powinny być białe. Staniki mają tylko trzy fałdki na przodzie, a z tyłu powinny być zupełnie gładkie. Kapelusze damskie krepowe lub grodenablowe nie powinny mieć innej ozdoby nad lekką kokardkę, lecz za to cały wierzch okryty jest piórkami puszkowemi; jeśli zaś która dama chce koniecznie mieć kwiaty na głowie, tedy nie może innych użyć prócz fijołków i chabru. Na ulicy nie może się pokazać dama modnie ubrana bez woala. Eleganci noszą tużurki z sukna zefir, kapelusze niskie, pantalonki u dołu obszyte skórką żółtą".

Czy możemy sobie wyobrazić, że nasi pradziadowie chodzili w pantalonach obszytych u dołu żółtą skórą?

„W kraju karłów i ludożerców" — oto tytuł zajmującej książki, która wyszła niedawno w Londynie z pod pióra misyonarza angielskiego A. B. Lloyda. Autor opisuje w niej podróż swą przez niezbadane jeszcze obszary Afryki środkowej. Wracając z Ugandy przez Kongo do wybrzeża oceanu Atlantyckiego, zwiedził także siedziby pigmejczyków i licznych szczepów ludożerczych. Pierwszą znajomość z pigmejczykami zawarł Lloyd w głębi lasu. Czytał właśnie książkę, gdy naraz ujrzał w zaroślach wiele małych twarzy z oczyma w niego utkwionemi. Wyciągnął do nich rękę na znak przyjaznego powitania. Powoli i bardzo nieśmiało zbliżył się jeden z tych małych ludzi do niego i zdumiony wpatrywał się jakiś czas w jego oblicze, a potem ukrył twarz w dłoniach. Kilku innych

także trochę się przybliżyło. „Mogłem tedy — opowiada Lloyd — przypatrzyć się z bliska przybyszom, a uderzył mnie naturalnie w pierwszym rzędzie mał· ich wzrost. Ale mimo swej małeńkości—jak później stwierdziłem, wysokość ich wynosiła 4 stopy (140 cm.) — byli tak silnie zbudowani, jak rzadko bywa u plemion afrykańskich. Piersi ich szerokie, mięśnie dobrze rozwinięte, szyja krótka a gruba, głowa na kształt małej kuli; dolna część ciała także niezwykle silna i krępa. Pierś ich porosła czarnym kędzierzawym włosem, a prawie wszyscy mieli gęste czarne brody. W ręku nosili łuk i sajdak, lub krótką dzidę. Na ramionach mieli żelazne pierścienie, niektórzy także na szyi. Porozmawiałem z tym, który najbardziej zbliżył się do mnie, w języku Toro i zadziwiło mię, jak sprytnie odpowiadał na moje pytania. Nie władał zbyt dobrze wspomnianym językiem, i wtrącał raz po raz słowa, których nie znałem, ale przecież mówił na tyle dobrze, żem go rozumiał. Był to, jak się okazało, wódz swego plemienia, długość krajów jego wynosiła 7 dni drogi, a szerokość 6. Pytałem go o liczbę jego ludu: na to wziął do rąk kawał drzewa, połamał go na drobne kawałki i rzekł, że każdy kawałek oznacza zwierzchnika; następnie wyliczał, ilu pigmejczyków należy do każdego zwierzchnika: niektórzy mieli 200, inni tylko 50, jeszcze inni aż 500. Pokazało się, że ogólna liczba wynosiła jakie 10.000 Potem opowiedział mi ten królik pigmejski, że już poprzednio wiedział o mojem przybyciu, gdyż widywał mnie od kilku dni.

— Widziałeś mię — rzekłem. — Kiedyż to?

— Już od sześciu dni widziałem cię w lesie.

— Ależ ja ciebie nie widziałem — odparłem.

Na to on serdecznie się uśmiał. Wreszcie dowiedziałem się, że liczna gromadka tych karlików śledziła z zarośli każdy nasz ruch, gdyśmy szli przez las. Dlaczego nas nie zaczepili?

W ostatnich kilku dniach byliśmy zupełnie w ich ręku, a zawsze przedstawiano ich jako plemię chytre i przebiegłe. Być może, że ochroniła nas moja bezbronność, albowiem widzieli, że nie mieliśmy strzelb, jak inni ludzie biali. Ale nie zdaje mi się, ażeby byli to ludzie tacy zdradliwi, za jakich uchodzą, raczej przypuszczam, że podobnie, jak większa część Afrykanów, nie ma się czego obawiać z ich strony, póki im się w drogę nie włazi. Ulubionem ich zajęciem jest polowanie na słonie za pomocą małych zatrutych strzał.

Równie dobre doświadczenia poczynił Lloyd z plemieniem ludożerczem Bangwa. Nazywa ich najsympatyczniejszymi murzynami, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia. Pełni byli figlów i doskonale przyjmowali wszystkie jego żarty. Angielska harmonika ręczna, pies, aparat fotograficzny, lorneta, a przedewszystkiem rower, wywoływały w nich największy podziw i najgorętsze uczucia kobieckie“.

Na przełomie dwóch wieków. W dwudziestu siedmiu tysiącach amerykańskich miast przygotowują gigantyczną uroczystość, która się rozpocznie w ostatnią noc roku 1900 na pożegnanie starego a powitanie nowego wieku. Uroczystości te ma ułożyć amerykańskie stowarzyszenie Czerwonego Krzyża, a to jedynie z tego powodu, że potrzebuje dwóch milionów koron, postanowiło więc sumę tę zdobyć za pomocą mitingów, jakie się odbędą w owej pamiętnej nocy. W program uroczystości wchodzą odczyty, na które złożą się krótkie zdania monarchów i najwybitniejszych mężów i kobiet współczesnych o przeszłości i nadziei na przyszłość. Major Higbie z chicagowskiego stowarzyszenia Czerwonego Krzyża przebywa właśnie w Londynie, aby pozbierać takie aforyzmy; będą one najpierw trzymane w tajemnicy i włożone w koperty i zapieczętowane, a każdy taki pakiet będą mogli nabyć kierownicy owych nocnych zebrań za cenę 100 koron. Taki zarazem będzie mógł oznaczyć dowolną cenę wstępu i nadwyżkę zatrzymać, lecz Tow. Czerwonego Krzyża ma swoich sto marek pewnych, czyli z 27.000 miast kwotę 2,700.000 koron. To się nazywa po amerykańsku zdobywać fundusze. Jeszcze lepiej maluje sprzyt Amerykanów fakt, że komitet nowojorski takiej uroczystości w noc pierwszą dwudziestego wieku, wzywa angielskich malarzy, poetów, i aktorów, którzy kiesę swą napełniali amerykańskiem złotem, ażeby teraz kupowali loże teatralne na takie zgromadzenie, a cena loży wynosi 4.000 koron i więcej. Nazwiska jednak subskrybentów mają być wielkiemi, elektrycznie oświetlonemi literami nad lożami uwidocznione. Więc komitet liczy, że taka nagroda wystarczy, aby przyciągnąć pieniądze chełpliwych bogaczy amerykańskich i angielskich.

Starożytni o samobójstwie. U starożytnych opinia publiczna stanowczo potępiała samobójstwo, uważając je za czyn niegodny człowieka. Wielcy myśliciele, uczeni i poeci, jak: Sokrates, Virgiliusz, Cicero, Pitagoras, również sądzili surowo samobójców. „Łatwo życiem pogardzać, gdy cierpieć jesteśmy zmuszeni, a dzielnym jest tylko ten, kto mężnie znosić je potrafi“ — powiada Martial. „Kto odbiera sobie życie, popełnia wykroczenie przeciw prawom najwyższym, a tem samem dopuszcza się zbrodni“ — mówi Arystoteles. Za cesarza Hadryana wyszło rozporządzenie, wzbraniające oddawania samobójcom wszelkich usług religijnych. W Atenach chowano ich potajemnie, odciąwszy przedtem prawą rękę, jako sprawczynię zbrodni. Na Cyprze nie pozwalano grzebać samobójców, tylko rzucano ich ciała w miejsce na ten cel przeznaczone. Gdy w Milet wybuchła między dziewczętami mania samobójcza, władza tamtejsza wydała rozkaz, aby ciała samobójczyń na tym stryczku, na którym powiesiły się, [illegible] na polu [illegible] Arystodenes [illegible].

Suchoty i chirurgia. W Hiszpanii doktor Molle w jednem ze swych dzieł twierdzi, iż suchoty uleczyć można otwierając płuca i kauteryzując część zgangrenowaną. Podobnej operacyi poddała się niejaka p. Ferry, żona admirała, chora na suchoty. Doktor Molle otworzył jej płuca, wypalił antiseptycznie chore miejsca i dziś chora znajduje się na drodze do wyzdrowienia.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu w naszej redakcyi: W. S. ze Lwowa (z prośbą o pomoc w zamiarach) 10 K. i „On“ ze Lwowa (z gorącą prośbą o najspieszniejszy powrót drogiej osoby) 10 K. Dotychczas złożono u nas na ten cel: **3.948 K. 77 gr.**, dwa dukaty i dziesięć marek w złocie.

Zmarli. W Sanoku Tadeusz Włodarski, artysta-malarz, lat 38.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +2, w poł. +3 R. Bar. 766. Spada. Pochmurno.

Między małżonkami.

— Wiesz, moja droga! Mam nadzieję zostać prezesem zawiązującego się u nas towarzystwa chodzenia na szczudłach.

— No, chwała Bogu! Bo to widzisz, nie ma nic okropniejszego, jak być żoną męża, który niczem nie jest!...

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek po raz pierwszy „Wspomnienie“, obraz sceniczny w 1 akcie przez Gryfitę; „Ksenia“, poemat dramatyczny w 1 akcie Aurelego Urbańskiego; rozpocznie „Wesele przy latarniach“, operetka w 1 akcie Jakóba Offenbacha. W piątek po raz drugi „Bartel Turaser“, dramat w 3 aktach Filipa Langmana, z p. Solskim w roli tytułowej. W sobotę „Rigoletto“. opera w 3 aktach z prologiem Verdi'ego; pierwszy gościnny występ Wiktora Grąbczewskiego, artysty opery warszawskiej, w partyi tytułowej; Gildą będzie panna Korolewicz. W niedzielę po południu „Wiele hałasu o nic“, komedya w 5 aktach W. Szekspira; wieczorem „Fra Diavolo“, opera komiczna w 3 aktach Aubera. W poniedziałek „Zaczarowane koło“, baśń dramatyczna w 5 aktach Lucyana Rydla.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru**. Premiera wczorajsza, 3-aktowy dramat „Bartel Turaser“ Filipa Langmanna, rozwija się dość interesująco, zwłaszcza, że się rozgrywa na tle aktualnem, jakiem są strejki, procesa sądowe i t. p.; stwierdzić też można było wczoraj, że robi wrażenie—głównie dzięki całemu szeregowi efektów scenicznych, które są wypróbowane i nigdy działania na publiczność teatralną nie tracą, jak np. śmiertelna trwoga winowajcy, podczas gdy „mściciele“ za sceną szturmują lokal, do którego on się skrył. Wogóle autor przedstawia się w tej sztuce jako pisarz, czerpiący z drugiej ręki, używający motywów, już literacko przyprawionych przez innych, oryginalniejszych autorów. To odnosi się zarówno do całego jego horyzontu poetyckiego i do myśli przewodniej jego sztuki, jak i do środków dramatycznych. I jak zawsze się dzieje w takich wypadkach, nietylko wygląda wszystko mniej silnie i przekonywująco, ale nadto są niekonsekwencye i braki, nieuniknione przy takiej robocie.

Fabuła pokrótce jest *ta*: W farbiarni wybuchł strejk, głównie z nienawiści do poddyrektora, który dokucza robotnikom. Żądają oni oddalenia jego, a mają ku temu tę dobrą sposobność, że urzędnik ów mocno się skompromitował, gdyż przyjęcie pewnej młodej robotnicy uczynił zawisłem od tego, by została jego kochanką. Gdy ta dziewczyna publicznie go o to obwinia, skarży ją do sądu o obrazę czci. Głównym świadkiem, który owe słowa słyszał, jest Bartel Turaser, jeden ze strejkujących farbiarzy. Licha płaca, a zwłaszcza strejk trwający już dwa tygodnie, powoduje ogromną nędzę u tych robotników, a zwłaszcza Turasera, który ma żonę i dwoje chorych dzieci. Właśnie gdy biedę w domu odczuwa w całej sile, pojawia się Kleppl, tak się nazywa ów poddyrektor, i usiłuje go przekupić, obiecując podwyżkę i oprócz tego 200 złr. Zrazu Bartel propozycyę tę odtrąca, ale stosunki jakby się spiknęły na to, by go nakłonić do jej przyjęcia. Błagania żony do reszty niweczą jego opór. Bartel zgadza się na złożenie fałszywego świadectwa. Proces wskutek tego wypada na korzyść Kleppla, położenie robotników, którzy i tak już wskutek wyczerpania się zapomóg z kasy strejkowej i składek nie mogą wytrwać w strejku, wobec tego wyniku procesu staje się jeszcze niekorzystniejsze. Uważają tedy Bartla za zdrajcę ich sprawy, albowiem domyślają się przekupstwa i w pierwszem uniesieniu chcą się na nim zemścić. Nie od nich jednak spada na Bartla kara. Oboje dzieci, córeczka i chłopak kilkuletni, umierają — starsze dziecko pono wskutek tego, że się przejadło po długiem głodowaniu. Ojciec jednak wierzy, że ono zrozumiało jego łotrowstwo i ze zmartwienia umarło. Ta śmierć łamie go do reszty i oddaje zupełnie na pastwę dzikich wyrzutów sumienia, aż w końcu, mimo że już został przez niebiosa ukarany, chcąc jeszcze być ukaranym przez ludzi, oddaje się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości.

Na tem się sztuka kończy.

Słaba ta sztuka p. Langmanna odniosła jednak pewien sukces dzięki jedynie doskonałej grze aktorów, a zwłaszcza p. Solskiego, który z tytułowego bohatera stworzył kreacyę niezmiernie bogatą i efektowną.

Głosy publiczności.

Wydział Towarzystwa dziennikarzy polskich zaprasza niniejszem wszystkich członków Towarzystwa do współudziału w pogrzebie zasłużonego sekretarza, ś. p. Stanisława Schnür-Pepłowskiego. Pogrzeb odbędzie się w piątek dnia 16 b. m. o godzinie 3-ej po południu z domu żałoby przy ulicy Szeptyckich nr. 28.

Michał Rolle. *Liberat Zajączkowski.*

Sport.

Wyścigi konne w Wiedniu. Zjazd listopadowy (dodatkowy). Pierwszego dnia 30 października nie było ani jednego znaczniejszego biegu. — Dzień drugi 31 października. Bieg koni dwuletnich, nagroda 4000 K. zwycięzcy, 700 K. drugiemu koniowi; meta 1000 m. Zapisano koni 26, biegało 6. Br. J. Harkanyi „Tarantella II“ po Abonnent od Talany 1, p. A. v. Pechy „Falb“ 2. Totalizator 73 : 10.

Dzień trzeci 3 listopada. Nagroda św. Huberta 5000 K. zwycięzcy, 700 K. drugiemu koniowi; meta 1000 m. Zapisano koni 17, biegało 5. Hr. G. Andrassy 3l. „Lili“ po Dunure od Landturn 1, br. J. Harkanyi 2l. „Tarantella II“ 2. Totalizator 58:10.

Dzień czwarty 4 listopada. Handicap listopadowy 5000 K. zwycięzcy, 700 K. drugiemu koniowi; dla koni dwuletnich; meta 1600 mtr. Zapisano koni 26, biegało 11. P. Robertsa „Onyx“ po Phil od Nulight (51 kg.) 1, kap. Gaston (pseudonim) „Barbara“ (46 i pół kg.) 2. Totalizator 76:10.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 13 listopada.

(Z). Rząd angielski zmuszony jest w najbliższym czasie zaciągnąć nową pożyczkę wojenną. Otò najnowsza wiadomość z Londynu. Właściwie było to do przewidzenia, że Anglia będzie potrzebowała nowych pieniędzy na wojnę, gdyż sam angielski minister finansów obliczał, że suma 70 milionów funtów szterlingów, wystarczy tylko w takim razie, jeżeli wojna w Transwaalu będzie do września ukończona, a tymczasem trwa ona do tej pory i nie wiadomo, kiedy się skończy — mimo to jednak wiadomość o nowej pożyczce wojennej sprawiła na giełdach przykre wrażenie. W Berlinie zwłaszcza była ona powodem, że trwający od kilku dni ruch zwyżkowy w jednej chwili ustał, tamtejsze bowiem sfery giełdowe biorą zapowiedź nowej pożyczki za nieomylną oznakę, że wojna jeszcze długo potrwa. Także w samym Londynie wcale nie cieszono się na giełdzie z tego, że rząd pożycza nowe pieniądze na wojnę, przeciwnie, giełda tamtejsza dała wyraz swemu niezadowoleniu z tego przez obniżenie kursu konsoli angielskich na 98·80.

Na naszym targu projekt pożyczki angielskiej wywołał stosunkowo najmniejsze wrażenie, w każdym jednak razie i tutaj odzywały się głosy obawy, że przedłużanie wojny w Afryce południowej może znów pogorszyć stosunki procentowe w Europie. To też jak w minionym okresie tygodniowym nasza giełda najmniej porwana została ogólnym prądem zwyżkowym, tak też i dziś najmniej odczuła powszechną reakcyę. Papiery spekulacyjne, wszystkie akcye bankowe i przemysłowe są wciąż u nas niepopularne, a natomiast z każdym dniem wzmaga się popyt o renty i inne papiery lokacyjne, tylko listy zastawne do tej pory najmniej korzystają z poprawienia się sytuacyi na targu papierów lokacyjnych. Za rentę majową płacono dziś 98, również bardzo poszukiwane były losy państwowe. Bank austro-węgierski tymi dniami już rozpisze konkurs na artystyczne wzory nowych not po 500 i 1.000 koron.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 663·25, węgierskie 670·00, Anglobanki 272·50, Uniony 545·00, Bankvereiny 471·00, Länderbanki 413·00, Ludwiki 425·25, Czerniowieckie 531·00, Elbethale 474·00, Renta papierowa 98·00, srebrna 97·70, austryacka złota 115·10, austr. renta wal. kor. 98·50, węgierska złota 115·10, węgierska renta wal. kor. 90·35, dukat 11·38, 20-franków. 19·20 —, 20-markówka 23·52—, ruble 2·54$^1/_2$.

§ **Wiedeń** 15 listopada. Z powodu święta Leopolda, patrona górnej i dolnej Austryi, giełda wiedeńska dziś przez cały dzień zamknięta.

§ **Z kolei.** Z dniem 1 b. m. zmieniono nazwę stacyi Wików szlaku Hadikfalva-Brodina na Wików dolny, zaś nazwę stacyi Bivolerie tegoż szlaku na Wików górny.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

Bukareszt 15 listopada. Wczoraj przed południem przesłuchiwano dalej świadków w procesie o zamordowanie profesora Michajleanu i Fitowskiego. Mitew oświadczył, że tajny komitet zadekretował, aby zamordowano Fitowskiego, a ludność to samo uchwaliła na publicznem zgromadzeniu, ponieważ Fitowski był szpiegiem tureckim. Mitew odczytał także pismo przez niego samego zredagowane, a oskarżające wspólnika jego Trifanowa o zdradę i nakazujące, by go zamordowano.

Oskarżony Stoicew przyznał się do współwiny, jak również Karambułow, który oświadczył, że użyte przezeń w toku śledztwa wyrazy „wielki plan“ nie odnosiły się do spisku przeciw królowi rumuńskiemu Karolowi.

Budapeszt 15 listopada. Podług doniesienia dzienników, minister skarbu Lukacs przedłoży w przyszłym tygodniu sejmowi węgierskiemu ustawę w sprawie nadzwyczajnych inwestycyj w wysokości 31$^1/_2$ miliona koron.

Petersburg 15 listopada. *Finlandzkaja Gazeta* stwierdza, że w prowincyi wyborgskiej ustała już zupełnie emigracya do Ameryki i że zniknęli stamtąd zupełnie agenci emigracyjni.

Belgrad 15 listopada. Ze strony kompetentnej zaprzeczają stanowczo doniesieniom pism zagranicznych, jakoby król Aleksander chciał ubezpieczyć się na życie w pewnem towarzystwie asekuracyjnem, a towarzystwo to nie chciało przyjąć jego policy. Cała ta wiadomość ma być od początku do końca zmyśloną.

Berlin 15 listopada. Parlamentowi niemieckiemu przedłożono wczoraj projekt ustawy, dotyczącej trzeciego kredytu dodatkowego na pokrycie kosztów wyprawy do Chin.

Radzie związkowej przedłożono dziś budżet państwa. Budżet przedstawia się w wysokości 2,240,947.301 marek. Wydatki stałe wynoszą 1,912,608.694 marek, wydatki jednorazowe *ordinarium* 224,583.912 marek, a *extraordinarium* 103,754.695 marek. Paragraf drugi upoważnia kanclerza Rzeszy do pokrycia kosztów nadzwyczajnych w wysokości 97,286.384 marek w drodze kredytu; § 3 upoważnia go do zasilenia zwyczajnych funduszów obrotowych głównej kasy państwowej stosownie do potrzeby zapomocą wydania obligacyj skarbowych, ale najwyżej do kwoty 175 milionów marek.

Petersburg 15 listopada. Car zachorował na tyfus brzuszny; przebieg choroby obecnie jest zupełnie zadowalający. Według biuletynu, wydanego wczoraj przed południem, car spędził ostatnią noc dobrze. Stan ogólny dobry, temperatura 38·7, siły wystarczające.

Suez 15 listopada. Zawinął tu parowiec „Gelderland“. Do kajuty Krügera nie wpuszczono nikogo. Oficerowie okrętu opowiadają, że stan zdrowia Krügera jest dobry. Dokąd „Gelderland“ stąd popłynie, nie wiadomo.

Londyn 15 listopada. *Daily Mail* dowiaduje się z Pretoryi, że Botha miał przesłać Robertsowi propozycyę kapitulacyi.

Brüx 15 listopada. Przy eksplozyi w szybie „Pluton“ — jak dotychczas stwierdzono — 32 osób odniosło obrażenia, z tych 16 już umarło, między niemi 9 urzędników i dozorców. Śledztwo w toku.

Glasgow 15 listopada. Urzędowo ogłoszono, że dżuma wygasła.

Petersburg 15 listopada. Departament sanitarny ogłasza, że w Afganistanie wybuchła cholera.

Wiedeń 15 listopada. Jak donosi *Neue Fr. Presse*, wspólny minister skarbu Kallay udaje się w dłuższą podróż urzędową do prowincyj okupowanych.

Kraków 15 listopada. Wczoraj przy ulicy Topolowej wykonano zamach morderczy. Żona konduktora kolejowego, Miznika, wpadła do sklepu kupca Burdy i rozgniewana tem, że Burda upomniał się o zapłacenie jakiegoś drobnego długu, podcięła mu gardło nożem; rana nie jest niebezpieczna.

Kraków 15 listopada. Wkrótce ma być tu otworzoną szkoła sztuki fotograficznej z fundacyi śp. Walerego Rzewuskiego, mianowicie z dniem 1 lutego 1901 wejdzie w życie pierwsza jej część, tj. uzupełniająca przemysłowa szkoła fotograficzna; druga część, tj. kurs wyższy wejdzie w życie później. W budżet miejski na r. 1901 wstawiona będzie na urządzenie tej szkoły kwota 5000 koron i takaż sama kwota na jej utrzymanie.

Warszawa 15 listopada. Jak słychać, sąd odeski nie zatwierdził testamentu zamordowanej śp. Wołodkowiczowej z powodu, że testament ten zawiera zapis 160.000 rubli na dwie instytucye klasztorne w Krakowie, a więc znajdujące się poza granicami państwa rosyjskiego.

Wypadki w Chinach.

Wiedeń 15 listopada. Komendant austro-węgierskiej eskadry w Azyi wschodniej donosi, że oddział austro-węgierskiego wojska w Pekinie bierze udział w ekspedycyi, wyruszającej w kierunku północno-zachodnim od Pekinu. Wymarsz nastąpi 18 b. m., a czas wyprawy obliczają na trzy tygodnie.

Austro-węgierska kompania marynarzy w Pekinie wraz z 16 niemieckimi jeźdźcami natrafiła o 10 kilometrów na zachód od Pekinu na bandę bokserów. Trzech przywódzców bokserów zastrzelono, a resztę ukarano.

Hongkong 15 listopada. Jak donoszą z miejscowości Sauczau, ponalepiano tam plakaty, wzywające ludność do walki z chrześcijanami, nazywające chrześcijan dyabłami, którzy przyszli wymordować Chińczyków i zabrać im ich kraje. W plakatach tych powiedziano o chrześcijanach, że umieją rozmaite sztuczki czarodziejskie i noszą przy sobie truciznę. Nieznani autorowie tych plakatów wzywają do zamordowania głowy Kościoła katolickiego Wang-Czeng-Hing (czy pod tem ma się rozumieć Papieża, czy też kogo innego, niewiadomo). Termin wymordowania chrześcijan i zamordowania głowy Kościoła chrześcijan oznaczono na 20 listopada.

Paryż 15 listopada. Agencya Havasa donosi, że poseł francuski w Pekinie Pichon będzie po ukończeniu rokowań pokojowych zamianowany generalnym rezydentem w Tunisie.

Londyn 15 listopada. Do Biura Reutera donoszą z Tientsinu bez daty: Ponieważ Rosyanie polecili zagranicznym urzędnikom kolejowym w Tongku opuścić tę miejscowość, Anglicy wysłali do Tongku wczoraj kompanię piechoty, a dziś rano 100 kawalerzystów dla ochrony tych urzędników. Wojska te otrzymają następnie rozkaz pozostania w Tongku.

Pekin 15 listopada. Dnia 12 bm. odbyła się konferencya posłów, na której osiągnięto porozumienie co do kilku zasadniczych punktów. Przypuszczają, iż będzie można wręczyć rządowi chińskiemu propozycye pokojowe wcześniej, niż zrazu sądzono.

Berlin 15 listopada. Naczelne dowództwo w Pekinie donosi dnia 15 bm., że celem ochrony katolików, zagrożonych przez dawniejszą załogę pekińską, wysłano w okolicę na północny zachód od Pekinu wyprawę, złożoną z wojsk niemieckich i włoskich, oraz z jednej kompanii austro-węgierskiej.

Berlin 15 listopada. *Post* zaprzecza doniesieniu pewnego dziennika angielskiego, jakoby 5.000 wojska niemieckiego miało odejść do Chin celem wzmocnienia tamtejszego oddziału niemieckiego.

Szangaj 15 listopada. Do dzienników donoszą z Kiau, że cesarz chiński wystosował do chińskich i zagranicznych urzędników w Pekinie telegram z doniesieniem, iż byłby już dawno przybył do Pekinu, gdyby otoczenie nie odmawiało mu posłuszeństwa. Dalej donoszą dzienniki, że cesarzowa-wdowa kazała ściąć dwóch mężów zaufania cesarza, którzy chcieli depeszę tę nadać. Dyrektor kolei i telegrafów, Szeng, mąż zaufania cesarzowej, zaprzecza tym doniesieniom.

Waszyngton 15 listopada. „Biuro Reutera“ donosi: Stany Zjednoczone mają zamiar zażądać, aby Pekin ogłoszono wolnym portem.

Tientsin 15 listopada. Tientsin liczy obecnie 600.000 mieszkańców Chińczyków, na co — jak sądzą — przypada $^1/_3$ bokserów. Na wszelki wypadek wzmocniono tutejszą załogę.

Waszyngton 15 listopada. Ze źródła kompetentnego donoszą według informacyi biura Reutera, że wywody prasy londyńskiej, o zachowaniu się Stanów Zjednoczonych wobec rokowań pokojowych z Chinami, polegają na nieporozumieniu, bo rząd Stanów nie chce bynajmniej zamącić obecnego porozumienia między mocarstwami.

Londyn 15 listopada. Do *Standardu* donoszą z Szangaju, że tamtejsi chińscy urzędnicy oczekują w najbliższym czasie wybuchu powstania mahometan w prowincyi Szansi pod dowództwem Tungfusianga.

Do *Daily News* donoszą z Szangaju, że jedno z wybitnych konserwatywnych pism chińskich, omawiając wyprawę wojsk zagranicznych do Paotingfu, wzywa tych chińskich urzędników, którzy nie są jeszcze aresztowani, a którym grozi niebezpieczeństwo od wojsk mocarstw sprzymierzonych, aby raczej popełnili samobójstwo, aniżeli mieli stać się ofiarą sromotnej śmierci.

Do *Morning Post* donoszą z Pekinu z dnia 11-go b. m.: Zagraniczni posłowie obradują obecnie nad kwestyą wynagrodzenia szkód, poniesionych przez Chińczyków chrześcijan. Francuski poseł zajął w tej sprawie stanowisko przychylne, w tym samym duchu oświadczy się prawdopodobnie angielski, posłowie amerykański i niemiecki zachowają się odpornie, a Japonia i Rosya oświadczyły, że nie chcą słyszeć o wynagrodzeniu szkód chrześcijanom Chińczykom.

Tientsin 15 listopada. Podług krążących tu pogłosek, pojawił się cesarski edykt z zapowiedzią, że cesarz i cesarzowa wdowa mają zamiar powrócić do prowincyi Peczili.

Lwów 15 listopada (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 koron 422·00 do 429·00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 400 kor. 527.00 do 536.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 630.00 do 650.—. Akcya garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 150·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 420·— do 440.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 354.— do 364.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·30 do 110·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los. w 60 lat 89.80 do 90·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 98.50 do 99.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·00 do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 91·00 do 91·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 92.20 do 92·90, 4 proc. los w 56 lat 90·80 do 91.50.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 95·50 do 96·20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 100·00 do 100·70. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·50 do 101·20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98·70 do 99·40. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. 102·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 91.70 do 92·40, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 88·30 do 89·00.

Monety. Dukat cesarski 11·35 do 11·50. Napoleondor 19·20 do 19·50. Rubel rosyjski papierowy 254·— do 256 —. 100 marek niemieckich 117·30 do 118·00.

Wiedeń 15 listopada. (Giełda towarowa). Cukier 24·95. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 43·00—43·40.

Berlin 15 listopada. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·00. Spirytus 45·80.

Paryż 15 listopada. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·60. Mąka („Fleur de Paris) 25·95.

Frankfurt 15 listopada. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 208·$^1/_2$. Koleje państwowe 141·40. Alpiny 000·00. Disconto 180·80. Laura 213·$^1/_2$.

Budapeszt 15 listopada. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 7·63—7·64, na październik 7·88—7·87; żyto na kwiecień 7·23—7·24; owies na kwiecień 5·60—5·61; kukurudza na maj 5·09—5·10. Oferty na pszenicę dobre. Chęć kupna mierna. Tendencya: słaba. Pogoda: pochmurno.

25)

Na dnie przepaści

POWIEŚĆ

Jerzego Ohneta.

(Ciąg dalszy).

— Łódź z powodu czujności strażników, nie będzie mogła podpłynąć do brzegu. Będziemy musieli więc wpław udać się do niej, a nie wiem, czy będę miał dość siły.

— W razie potrzeby, będę cię podtrzymywał...

— A rekiny? Jest ich tu tak wiele, że tylko cudem można ich uniknąć. Są oni najlepszymi strażnikami wyspy. Administracya wie o tem dobrze.

— Będziemy mieli do przepłynięcia najwyżej pięćset metrów, możemy więc nie spotkać rekinów... Zresztą, będziemy uzbrojeni. A przytem i łódź parowa natychmiast podpłynie ku nam.

— Dobrze! Więc jutro. Idź już. Nie obudzajmy ich czujności.

Uścisnęli się, poczem Tragomer podszedł do nadzorcy i rzekł:

— Dziękuję panu, może pan odprowadzić więźnia.

— Zaniepokoił pana, prawda? To uczciwy biedak... nieszkodliwy. Nie lękamy się jego ucieczki, więc pozwalamy mu chodzić swobodnie. Można mu drzwi otworzyć, a nie skorzysta z nich. Nr. 2317, idź sam do swej ciupy, a ja odprowadzę milorda.

Jakób pochylił głowę, by ukryć swą twarz ożywioną i rzekł do Tragomera:

— A niech pan nie zapomni o książkach, które mi pan przyrzekł:

— Pamiętam. Przyniosę jutro.

Więzień oddalił się. Chrystyan obojętnie patrząc za nim, rzekł do nadzorcy:

— Ma bzika i dobrego nawet, lecz nie szkodliwy.

— Jak dziecko.

— Gdzie on mieszka?

— Zaraz pokażę panu. Obok kapelana.... w budynku, służącym na skład powrozów. Dobrze mu tam, przytem może często widywać się z kapelanem. Oto w tym domu.

— Odwiedzę go jutro, gdyż przyjdę jeszcze, ażeby zobaczyć lekarza i notaryusza. Wracajmy do Numei. Czy jutro będę musiał powtórnie prosić o pozwolenie?

— To nie konieczne. Znamy już pana.

— Będzie mi pan towarzyszył?

— Naturalnie.

U wybrzeża siedli do oczekującej na nich łodzi i odpłynęli do jachtu.

W godzinę później Tragomer był już na pokładzie swego statku.

Marenval, w białym kostyumie flanelowym, w czapce marynarskiej z galonami złotemi, opalony, z zapuszczoną brodą rzucił się ku swemu przyjacielowi i odprowadziwszy go na stronę, pod markizę zabezpieczającą od gorących promieni słońca, zapytał:

— Cóż? Widziałeś go?

— Wracam właśnie od niego.

— Porozumieliście się?

— Z trudnością. Musiałem mu zagrozić, że jeżeli się nie zgodzi, to użyję siły.

— Więc przybyliśmy za późno? — zapytał Marenval zdumiony. — Więc tak dalece utracił siły i energię...

— Siły nie, lecz brak mu woli. Jest tak zniechęcony i zrezygnowany, że tylko odkrycie zdrady Sorège'a ożywiło go.

— Cóż postanowiliście?

— Jutro zaniosę mu ubranie marynarskie, pozostanę tam pod pozorem zwiedzenia wyspy, następnego dnia pomogę Jakóbowi ukryć się w skałach, gdzie będziemy oczekiwali nadejścia nocy. Wtedy ty, skoro tylko zapadnie noc, podpłyniesz na szalupie parowej o ile można najbliżej brzegu. Jestto sprawa kilku minut... Siądziemy na szalupę i popłyniemy do statku. Jeżeli usłyszysz mój krzyk, to podążysz ku nam całą siłą pary, gdyż będziemy wystawieni na niebezpieczeństwo. W kilka chwil wszystko się skończy: ocalejemy lub zginiemy.

— A jacht?

— Jacht jutro zażąda papierów i przygotuje się do drogi na godzinę siódmą wieczorem. Utrzymuj ciągle parę jak najwyższą, gdyż w przystani stoi statek parowy i może nas ścigać.

— Nie lękam się pogoni. Nie dopędzą nas.

— A jeżeli będą strzelali?

Marenval w milczeniu spojrzał na cztery działa, których paszcze wystawały po za burty jachtu.

— To będziemy mieli czem bronić się, prawda? Taką miałeś myśl — zapytał Tragomer.

— Tak. Lecz wtedy poczytają nas za piratów, a prawo z nimi nie żartuje. Powinniśmy unikać sporu.

— A jeżeli nie będzie można uniknąć go?

— Czy kapitan i załoga posłuchają cię?

— Kapitan jest Anglikiem i nie pozwoli się wziąć. Załoga karna, spełni jego rozkaz.

Marenval westchnął. Przewidywał niebezpieczeństwo i oto nadeszła chwila stanowcza.

— Jakoś to będzie — odrzekł. — Dotychczas wszystko nam szło pomyślnie. Jacht może płynąć osiemnaście węzłów na godzinę. Rezultat zależeć będzie od szybkości, z jaką pospieszymy ci na pomoc. Rachuj na mnie, spełnię wszystko. Nie zejdę z pomostu.

II.

— Tutaj, milordzie — rzekł dozorca do Tragomera, wskazując na budynek, mieszczący w sobie skład lin.

Chrystyan zwrócił się do idącego za nim majtka i rzekł po angielsku:

— Chodź ze mną, Dongali.

Majtek chciał wejść, lecz wstrzymał go stojący na warcie żołnierz słowami:

— Pozostaw pierwej tę skrzynkę, co masz na ramieniu. Przepisy nie pozwalają bez upoważnienia wchodzić do środka z rzeczami.

— Oto upoważnienie — rzekł dozorca, wyjmując z kieszeni papier.

Majtek, postępując za Tragomerem, wszedł do baraku, gdzie więźniowie w kajdanach, siedząc na ziemi, plecami oparci o ścianę, kręcili grube liny okrętowe.

Z ciekawością podnieśli głowy i zatrzymali na chwilę zbolałe od pracy ręce.

Mruknęli półgłosem, lecz wejście dozorcy przywróciło ciszę.

Przebywszy mały dziedziniec, Tragomer zobaczył przez kratę widok przerażający. Jakiś człowiek, z głową nakrytą kapturem, przez którego otwory świeciły tylko jego oczy, jak zwierzę dzikie krążył wokoło malutkiego dziedzińca. Chodził wolno, za każdym krokiem brzęcząc kajdanami.

— Co on robi? — zapytał Tragomer strażnika.

— Przechadza się przez pół godziny, poczem odprowadzony będzie do celi. Chciał zbiedz, lecz został ujęty i skazany na dwa lata siedzenia w celi. Nie widuje się i nie rozmawia z nikim, siedzi w klatce mającej trzy metry długości i jeden metr szerokości.

— Średniowieczne in-pace... — mruknął Tragomer. — Oto los, oczekujący nieszczęśliwego, pragnącego ratować się ucieczką.

— Ach, milordzie, gdyby nie postępowano tak surowo, nie możnaby było dać sobie z nimi rady.

— A jednak to rzecz naturalna, gdy więzień pragnie odzyskać swobodę.

— Zapewne, lecz sprawia nam to wiele kłopotów.

Nieszczęśliwy kręcił się ciągle wokoło dziedzińca.

Chrystyan zadrżał na myśl, że gdyby Jakób wpadł w ręce straży, czeka go los podobny.

Instynktownie sięgnął do kieszeni i dotknął się rewolweru.

Przeszli przed kuźnią, w której więźniowie kuli kajdany, przeznaczone dla swych towarzyszy. Weszli wreszcie do biura, składającego się z jednego pokoiku, w którym Jakób, siedząc przed stołem, przepisywał jakieś papiery.

Spostrzegłszy swego przyjaciela, podniósł głowę i zarumienił się, lecz pozostał na miejscu, oczekując rozkazu nadzorcy.

— Możesz odłożyć robotę na czas, dopóki milord będzie tu bawił. Oto książki, które ci przyniósł.

Majtek otworzył skrzynkę i wyjął z niej Biblię, jakieś podróże i paczkę tytoniu.

— Może pan przyjmie parę cygar — rzekł Tragomer do nadzorcy. — W kolonii takich pan nie dostanie. Niech pan pozwoli tytoń ten zostawić temu biedakowi.

— 2.317, podziękuj. Jeżeli nie wyłudzą od ciebie towarzysze, to będziesz miał na kilka miesięcy. Masz szczęście, nie wszyscy zwiedzający zakład bywają tak hojnymi.

— Dziękuję panu— pokornie szepnął kryminalista.

— Będę czekał na pana na łodzi — rzekł dozorca do Tragomera. — Przedtem mam zobaczyć się tylko z komendantem, lecz to zajmie mi najwyżej godzinę czasu.

— Dobrze, będę na szóstą. Niech pan zabierze z sobą mego majtka.

Dozorca i marynarz odeszli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.